





ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

---

Wydanie nowe, przejrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom trzydziesty ósmy.



# D J A B E Ł.

POWIEŚĆ

Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzane i poprawione przez Autora.

---

CZTERY TOMY.

„Kiedy tak dobrze trzymasz o twoim narodzie  
dla czego narzekasz na obyczaje jego? — „dla tego  
właśnie, że o nich nie rozpaczam.“

*Mowa Winc. Turskiego, 7. Grudnia 1789 r.*

Tom III.

---

L W Ó W.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta  
przy placu św. Ducha l. 10.

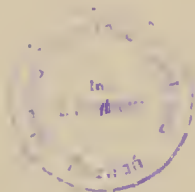
---

1 8 7 3.

W A R S Z A W A.

W księgarni Michała Glücksberga.

Kra 1-2000 | 11.11.1921



J 9/4 240,-

---

Nakładem Bogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.  
Drukiem Kornela Pillera.

1979 J 280



## I.

Wieczorem u pani starościny mołogolskiej, u pani Opeckiej, u hetmanowej Ogińskiej, u wojewodziejowej mściśławskiej, gdzie się zbierało dużo osób z przybyłych do Warszawy i ze dworu, o niczem nie mówiono, tylko o przygodzie owej jenerała i podczaszyca, a trafem dziwnym, wszyscy już powtarzali wierszyki o osobach z którymi byli źle, w zupełnej będąc niewiadomości innych co się do nich samych lub ich stronnictwa stosowały. Powszechnie unoszono się nad dowcipem paszkwilisty, a że z niego zarówno, ze śmiałości wielkiej i z sentymentów jakimi wiersze były na wskrós przejęte, słynał na ówczas szambelan Węgierski, jemu też powszechnie tę sztuczkę przypisywano. Sąd Trembeckiego, który bez ogródki starościca korytnickiego uznał autorem zagadek, wielkiej tu także był wagi. Nie wiedziano tylko, kto w tak zuchwały sposób wierszyki te po Warszawie za pomocą jasełek chciał rozpowszechnić, zapewne w celu politycznym. Opowiadanie o szynkowem widowisku w tyśiączne ubierane dodatki, a między innemi, że lud obu-

rzanego Bauchera dobrze wyszturgał, wywoływało śmiechy ogólne.

Śmieli się nawet najstrożej pokaleczeni, bo o sobie nie wiedząc jeszcze, cudzej biedzie radzi byli. Z tego powodu i podczaszyc Ordyński grający tu jakąś rolę zwrócił uwagę powszechną. Damy, zwłaszcza te które w tej chwili były niezajęte, przy których sigisbejstwo wakowało przypadkiem, lub aspirantami tylko tymczasowymi zapełnione było, powtarzały sobie na ucho różne wiadomości o podczaszycu Ordyńskim. Zjawienie się młodego ładnego chłopca ze wsi, w owe czasy powszechnego zepsucia, nie mogło przejść niespostrzeżone. Z początku póki go widywano u boku matki, wydawał się trochę za młodym, i podczaszyna imponowała, ale gdy usłudni przyjaciele rozgłosili że bywa u Frascatelli, że go z nią widziano na ulicy nawet, wielkie wrażenie zrobiło to po salonach. Wojewodzicowa mściśławska, która od syna pierwsza się podobno dowiedziała o tem, że podczaszyc do tancerki uczęszcza, odezwała się wieczorem u starościnej mołogolskiej:

— Wiecie państwo, że ledwie matka odjechała, już się ten młodzieniaszek w świat puścił, żal mi go bardzo że tak lichy uczynił wybór i myśli śmiecie z ulic wymiatać, szkoda jego młodości!

— Zwłaszcza — dodała gospodyni z ostrym uśmiechem — gdy mu o coś lepszego, przy jego minie i świeżości, niezmiernie byłoby łatwo.

— Zapewne — odpowiedziała księżna — ale jak to raz rzuci się w te niższe klasy towarzystwa, któżby potem chciał po tancerkach zbierać niedogryzki?

— Pozwólcie panie, bym się też za nim ujął trochę, odezwał się przytomny na wieczorze książę Nestor;

wiem z pewnością od jenerała Bauchera, że to jeszcze bardzo niewinny i skromny dzieciak. A co się tycze tej tancerki, wszystkim nam wiadomo, że ona do tych dziwnych zaklętych istot należy, na które patrzy się z podziwieniem nie mogąc ich zrozumieć. Naraża się na języki, ale nikt jej nie dowiedzie jednego prawdziwego kochanka.

— Ależ — zawołała gospodyni, wasza książęca mość dziwnie też jesteś naiwny, że wierzysz cnocie tancerki, która jeździ na wieczorki do księcia podskarbiego!

— Ona jeździ i chodzi wszędzie, gdzie się jej zamarzy — rzekł książę — a z tego co na nią powiadają śmieje się niemniej.

— Porzućbo ten przedmiot — przerwała matka — utrzymujesz dziwaczne założenie! Sensu w tem niema!

— Pwracam więc *à mes moutons* — dodał książę Nestor — to jest do podczaszycy. Jenerał mi mówił, że dziwny z niego nowicjusz, choć ogromna w nim ochota puszczenia się w świat. Nie brak mu nawet wcale dobrego wychowania, ale nieśmiały. Dobrzebyście panie zrobiły, biorąc na siebie wykrzesanie go i wyrobienie zeń człowieka. Zadanie przykrem by nie było.

Rozmowa toczyła się ciągle po francuzku, a przytomna jej żona posła pruskiego pani Lucchesini, piękna Włoszka z czarnymi ognistymi oczyma, słynąca z zalotności, której obojętność męża swobodne i rozległe dawała pole, słuchała z innemi z podbudzoną ciekawością. Gdy książę Nestor skończył, śmiało odezwała się prosząc go, żeby jej tę osobliwość przyprowadził i zaprezentował.

Nikt się nie dziwił temu, nikt nie uśmiechnął, kilka

innych pań goniących resztkami piękności lub pięknych jeszcze, mimo że wcześniej z wdziękami swemi na świat wybiegły, chórem powtórzyły tę prośbę do księcia za posłową.

— Ale prawdziwie — śmiejąc się odparł piękny generał — mógłbym mu pozazdrościć tylu ciekawości i takiego szczęścia.

— Rzeczywiście — dodała Lucchesini — przypominam sobie, że go gdzieś już widziałam, bardzo to ładny dzieciak.

— Czy piękniejszym go pani znajduje — szepnął na ucho posłowej książę — nawet od młodego Ursyna (Oursino).

(Wieść już wtenczas dawała pani Lucchesini znajomego pod tym przydomkiem w świecie, autora *Powrotu posła*).

Włoszka podniosła oczy niezaśmione, jasne, śmiałe na pytającego, i dodała jakby nierozumiejąc:

— Któż to jest Ursyno?

— Poseł inflantski.

— Kub....? — śmiejąc się podrzuciła.

— Niech pani przypomni sobie, że jest drugi przecie!

A! wiem o kim pan mówisz — z równą odwagą, ale ciszej odpowiedziała Lucchesini. — A! a! jakże ich porównywać można: Ursyno choć młody, tyle już przeżył miłostek ile ma lat!!

— Jest nadzieja, że dzisiejsza miłość jego będzie ostatnią — dodał po cichu książę.

— Nie rozumiem mości książę — zimno odpowiedziała posłowa — jak gdybyś mówił po polsku: (*C'est du polonais pour moi*).

Lucchesini, która nic nie umiała po polsku i gnie-

wała się, gdy przy niej mówiono tym językiem. zwykle się w ten sposób wyrażała.

Na tem ogólniejsza przerwała się rozmowa, gdy jak na toż, jenerał z podczaszycem weszli na pokoje pani starościnej.

Dom jej był naówczas jednym z tych salonów prawie codziennie otwartych, gdzie się ludzie wszystkich niemal stronnictw spotykali. Służył on za *rendez-vous* nie jednej zakochanej parze, nie mogącej zejść się gdzie indziej, za plac spotkania nie bijący w oczy potrzebującym widzieć się tajemnie, dokąd każyły dążyć pewien, że tam najświeższe plotki i połowę Warszawy znajdzie. Uprzejmość, dowcip gospodyni (Anny ze Scypionów Szaniawskiej), czyniły wieczory jej jednymi z najprzyjemniejszych i najwięcej uczęszczanych. Ton w nich panujący był naturalnie francuzki ówczesny, ale prawdziwie wielkiego świata.

To też najznakomitsze osoby owej epoki wołały tu spędzać godziny wieczorne niż gdzieindziej, a gdy inne paradniejsze salony stały pustką często, tu natłok był zawsze. Każdy przybyły do Warszawy musiał się prezentować starościnie, i indygenat otrzymawszy w jej domu, pewnym był przyjęcia u innych. Nie dziw więc że jenerał przywiódł tu swego protegowanego, bo nigdzie nie spodziewał się sam spotkać więcej osób i lepiej rozstłuchać czem Warszawa tętniała, a podczaszycowi z tego stanowiska najskuteczniej mógł całe towarzystwo ukazać. Kolacyjki też pani starościnej dosyć mu smakowały; nie były to wymyślne przysmaki Lukulla, ale miały staropolską zawiesistość i obfitość, czem się inne pochlubić nie mogły. Jenerał umiał te przymioty ocenić, gdyż po innych stołach choć wytworne, skąpe by-

wały półmiski i niedostępne dla wielu, bo o nie prawie bój staczać przychodziło.

Staroscina obu przybyłych powitała swoim zwyczajem z godnością a uprzejmie; oczy wszystkich kobiet zwróciły się zaraz na wilka o którym tylko co była mowa, a co tak w porę przyszedł. Wilk nasz wydał się im czem był w istocie, wielce powabnym, pięknym młodym chłopakiem, którego reszotka nieśmiałości dziecinnej jeszcze wdzięczniejszym uczyniła. Zewsząd się piękne oczki trochę bezwstydnie zwróciły ku niemu, a jenerał który tego zaraz jakoś dostrzegł, westchnął pomrukując: *O aurca juvenitus!*

Ten który był celem tak ognistych napaści, najmniej się ich domyślał: zatrzymała go zaraz przy sobie księżna wojewodzicowa, na którą aż strasznie ramionami ruszać zaczęto w młodym kątku, że tak świeżuchnego kawalera na szczątki swych trędowatych wdzięków zwabić chciała. Jej żywa i ośmielająca rozmowa, dowcip szyderski, gwałtowna chęć podobania się, której już maluczko czasu do popisu zostawało — uwięziła na chwilę podczaszyca. Pragnął może przejść gdzieindziej, spotykając i czarne ogniste oczy Lucchesini ku sobie zwrócone znacząco i kilka par różnych odcieni wejrzeń szukających oka jego, promieniejących zalotnością, melancholją, wesołością, obietnicami — ale grzeczność go nie puszcziała. Nareszcie gospodyni zrzućiła z niego te kajdany, powołując ku sobie i niecierpliwej przedstawując Włoszce.

Szczęściem, tego wieczora posła inflantskiego nie było, zatrzymali go Mostowscy; Lucchesini więc zagarnęła podczaszyca i schwyciła jak swego — nie jej nie przeszkadzało.

— Teraz już — szepnął generał — choćby go starościna spróbowała przywołać, z tych pięknych łapek nie tak się łatwo da odebrać jak od ks. wojewodzicowej!!

Mienia się czasy i obyczaje: dziś, pomimo licznych może wyjątków, trudnoby pojąć jak gwałtowny szturm przypuściła Włoszka do młodzieńca, którego od razu jednego wieczora wziąć chciała. Co dziwniejsza! nikomu się to nadzwyczajnem nie wydawało, choć było w oczy szkaradnie; jedna tylko wojewodzicowa szemrała na bezwstydnosć. Co na ten napad poszło słów, zapytań, odpowiedzi i wejrzeń strzelistych. wejrzeń co aż do dna duszy zagłędały — wyliczyć niepodobna. Niktby się im nie oparł, cóż dopiero młody, niedoświadczony i wcześniej przygotowany do upadku Ordyński?

Osobliwszy to był charakter kobiety; w niej miłość i miłostki, raczej z namiętnego usposobienia niżeli z serca i potrzeby uczucia płynęły. Fantastyczna, niestała, porywca, poświęcająca się dziś, by jutro wyrzucić ofiarę którą uczyniła, łatwo gniewliwa, gwałtowna do szaleństwa, mogłaby była znużyć najwytrwalsze przywiązanie, gdyby go nie rozdrażniała co chwila tysiącem nowych wdzięków, w które ją każdy nowy wybuch przystrajał. Ze wszystkimi wadami wieku, z zalotnością obyczajów ówczesnych, łączyła dumę jakąś, ambicją i ogień sobie tylko właściwy.

Był to więc szatan przebrany w suknię kobietą, fzucający ludźmi jak dziecię zabawką, stworzony na męczarnie dla siebie i drugih. Olbrzymi egoizm podnosił wszystkie jej wady do tego stopnia, na którym się one już człowiekowi nigdy błędami pokazać nie mogą.

W przekonaniu swem zawsze niewinna, wiecznie była ofiarą.

W pierwszej chwili przedstawiła się Ordyńskiemu w postaci kobiety czulej i łagodnej — była to zwykła jej fizjognomia zapoznania, zdawała się nią ośmielać, by przybliżyć i pociągnąć ku sobie. Oczy jej patrzyły miłuchno, usta mówiły słodko, czoło oblewało się mgłą tęsknoty i pragnienia nienasyconego, ale to była tylko pierwsza maska, którą rychło zrzucała piękna Włoszka, ze zrećznością szatańską przechodząc stopniami powoli do coraz wybitniejszych rysów, w których gwałtowna namiętność, chęć władania, a często i gniew panował.

Tego wieczora, wszystkich jej dobrych znajomych uderzyła ta słodycz nadzwyczajna i powolność, któremi się dla Ordyńskiego osłoniła. Nie gniewała się że w koło niej ten i ów po polsku przemówił jak zwykle. nie wyłajała nikogo, nie wstrząsała się na każde skr ypięcie paryzkich trzewików księcia Nestora, które było dla niej nieznośne. Rozmowa poczęła się od matki podczaszyca i Włoch o których z tęsknotą mówiła piękna ich córka, przeszli potem do Warszawy, do dworu, do tych ogólników pod które podłożyć można wszelką myśl jaką kto chce; których obcy słuchają nierozumiejąc, a jeden tylko pojmuje prawdziwe znaczenie. Są to słowa skelety, na których rozwieszone wzrok, uśmiech, niepostrzeżony ruch i drgnienie, właściwe dają im życie.

— Pan musisz być bardzo ztęskniony za matką i ogłuszony tą wrzawą tak nową dla siebie? — spytała Lucchesini podczaszyca.

— Patrzę, słucham, dziwuję się — odpowiedział Ordyński — jestem wszystkiemu nowy.

— Zazdroszczę panu tych uczuć — rzekła Lucchesini,



bo dla mnie wasza Warszawa tak już w krótkim czasie stała się znajomą i nieciekawą! Tak mi tu między wami za moją tęskno ojczyznę!

— Wątpię, by pani braknąć mogło towarzystwa i wielbicieli — dodał podczaszyc, ośmielony jej wzrokiem.

— O! niczego mi nie brakuje, nawet tego sprzętu, który pan zowiesz wielbicielami, ale to wszystko tak nudne i pospolite. Ja lubię młodość, a tu i młodzi są staremi.

Podczaszyc przypomniał sobie rozmowę z Frascatellą i coś w niej do tych słów podobnego; schodziły się dwie Włoszki na jedno prawie wyrażenie, ale czy z jedną w istocie myślą?

— Najnudniejsze w świecie wiodę życie w Warszawie — dodała pani Lucchesini — mąż mój, jako dyplomata, nieustannie zajęty ledwo go raz w miesiąc w cudzym domu spotkać mi się uda, towarzystwo popuślsze mam nie wielkie, a w waszym świecie polskim, tak wszystko nieznośne po polsku!

Ta impertynencja naówczas była tak w tonie zwykłych rozmów, że uszłaby nawet w ustach każdej Polki; podczaszyc więc nie biorąc jej za złe, tylko się uśmiechnął.

— Przyznaj jednak pani — dodał — że robimy co tylko możemy, by się z naszego barbarzyństwa otrząsnąć.

— Może być, ale że waszego *wczoraj* nie znam, a *dzisiaj* nie mam z czem porównywać, ten postęp wydaje mi się jeszcze bardzo chyba niedostrzeżonym...

— Więc Warszawa nie miała szczęścia podobać się pani? — zapytał podczaszyc coraz bardziej pociągany

płomienistym jej wzrokiem. — Szkoda! zawsześmy ucho-  
dzili za gościnnych, przykro nam będzie jeśli wraże-  
nie jakie ztąd wywieziesz pani, naszym chęciom nie  
odpowie.

— Zresztą — poprawując się przemówiła Lucchesini —  
alboż wiem jeszcze jakie ztąd wrażenie wywiozę, cze-  
kam i patrzę, patrzę i czekam dotąd.

To czekam — pełnem było obietnic; zrozumiał je  
dobrze choć niedoświadczony Ordyński i już miał odp-  
owiedzieć zbierając się na odwagę, gdy druga z tych  
pań co na niego czatowały przysunęła się do rozmawia-  
jących jeszcze śmieiej, jeszcze dziwniej porywając się na  
podczaszyca.

Była to piękna blondynka, od lat trzech dopiero za-  
mężna, której puder modny bardzo był do twarzy —  
bieluchna, świeża, rumiana, rzekłbyś, łagodna jak bara-  
nek. Jedna to była z tych mnóstwa pięknych starościn,  
w które Warszawa obfitowała za Stanisława Augusta,  
które wszyscy kochali poczynając od króla, które malo-  
wał każdy artysta, wielbił każdy młody; jedna z tych,  
co umiały doskonale wszystkim być miłe, nikogo nie  
zrażać, każdemu jakąś cząstkę nadziei wydzielając za  
dobre chęci.

— Podczaszycu — zawołała wpadając między niego  
a panią posłową ze szczególniejszą odwagą (była mu już  
trochę znajomą z widzenia) — czy to prawda, jak mó-  
wią, żeś się już zakochał?

— Ja? — płoniąc się zmiészany rzekł podczaszyc —  
ja pani?

— Nie byłoby nic nadzwyczajnego! — przechodząc  
w dumny tonik przerwała Lucchesini.

— Tak jest pan, pan, przyznaj się przynajmniej szcze-

rze, będziemy wiedziały czego się trzymać — dodała roztrzępana blondynka, rzucając okiem na posłową z minką wiele znaczącą.

— Ale ja jeszcze nie miał czasu rozpatrzeć się w Warszawie i pomyśleć o wyborze!

— A! a! — zaśmiała się perłowemi ząbkami starościna — alboż to miłość myślisz pan sobie wybierać jak aksamit na suknię?

— Przyznam się pani, że o tem zakochaniu mojem nie wiem jeszcze.

— Bądź pan z nami szczerzy! — nalegała blondynka.

— Prawdziwie, gdybym wiedział do czego mi się pani przyznać każe!

— Ale my już wszystko a wszystko wiemy — mówiła żywo nie dając się wmięszać Włoszce starościna, a jakże nie mamy wiedzieć, kiedy się kto tak mało strzeże i po ulicach swoje tryumfy oprowadza!

— Rozumiem nareszcie — odezwał się podczaszyc, widząc, że się potrzeba stanowczo wywikłać z tych zapytań, którym, ze wszech stron badające spojrzenia towarzyszyły. Dziś rano spotkałem na ulicy tancerkę Frascattelę, musiano mnie z nią zobaczyć, i ztąd cała plotka?

— Ale czyż tylko plotka? — zapytała natarczywie blondynka. Lucchesini także wlepiła w niego czarne swe oczy z zapytaniem niemem.

— Dotąd jest to plotka nic więcej, uśmiechając się odpowiedział Ordyński, ale za dalej nie ręczę....

— Prawdziwie — przerwała starościna zaczynając się bawić wachlarzykiem — gdyby to plotką być przestało, wstydby nam było wszystkim wiele nas tu jest, żebyś

też pan z tylu pięknych kobiet wyższego towarzystwa w całej Warszawie, nie umiał sobie wybrać i zszedł od razu na tancerkę! to dobre na koniec, dla Bauchera, dla podskarbiego, pan wart jesteś coś lepszego!

— A bezwstydnica! — ścinając zęby mruknęła z gniewem tłumionym Lucchesini.

Blondynka zdawała się na poruszenia posłowej nie zważać. i chwyciła podczaszycę za rękę.

— Doprawdy — rzekła — nie gniewaj się pan, ale nie chcemy byś wpadł w ręce tanecznicy i śpiewaczek, nie jedna z nas gotowaby się poświęcić, by go wydrzeć z niebezpiecznych szponów drapieżnego tego zwierzęcia.

— Oszałała! *mais elle est devenue folle* — w duchu mówiła Lucchesini.

Podczaszyc pomiędzy temi dwiema pięknościami stał odurzony nie wiedząc co począć, wahając się ku której miało pójść serce jego, gdy właśnie w tej chwili stanowczej nadeszła trzecia.

Sławna to była piękność i nie mniej głośna zalotnica, którą już był pierwszy jej mąż podrujnowawszy się oddał za trzykroć sto tysięcy drugiemu, wielkiemu a obojętnemu panu. Rozwód, znowu miał ją jak było słyhać, uwolnić od tego związku, a w miejsce jednego, kilku już miała ubiegających się o jej rękę, wdzięki i dobra wytargowane na dwóch małżonkach.

Istotnie, piękna była jak anioł, gdyby tu tego porównania użyć się godziło, i miała ten rodzaj fizjognomji zwodniczej, pod którą rzekłbyś mieszkać powinny wszystkie cnoty i wszystek rozum tego świata. W spokojnem jej obliczu Rafaelowskiej Madonny czytałeś coś chciał, a w oczach jej ulgnąwszy można było

przemarzyć lata, prześnić wieki. Cóż kiedy ta twarz tak okrutnie kłamała!

Najpospolitsza z kobiet, ledwie miała trochę poloru, który nadaje wprawa w towarzyskiem życiu, nie wiele dowcipu, nie serca, ale za to odwagę jaką ją obdarzała piękność cudna i tę pewność siebie, której nabyła widząc u swych kolan co żyło, palące ofiary. Ómiła ona w istocie twarzą nieco wschodniego typu co się tylko najpiękniejszego ukazywało, i panowała jak królowa w tym wieńcu, którym skroń swoją zdobiła Stanisławowska Warszawa. Nie było poety, któryby jej nie śpiewał, młodzieńca i starca coby do niej nie wzdychał, a w zgromadzeniach ile było oczu, wszystkie się ku niej zwracały. Piękna ta laleczka, w takiej tylko epoce jak ówczesna tak powszechnie ubóstwianą być mogła, gdyż każde słowo z ust jej wychodzące, powoli rozczarowywało.

Ta trzecia zbliżyła się także, zdala już wzrokiem krępując przyszłego niewolnika, chciała tryumfu i była go pewną.

— Podczaszycu — odezwała się z góry — matka mi waćpana poleciła w opiekę; pięknie jej jesteś posłuszny, wszak od jej wyjazdu ani razu nie byłeś u mnie.

— A! pani! czuję żem winien — grzecznie odpowiedział zagadnięty — ale generał Baucher wszystkimi krokami memi kierował, nie dał mi się ruszyć samemu, niech zaświadczy.

— I on to zapewne — dodała piękność — zrobił panu tę znajomość z tanecznicą — fe! zostaw to pan starym naszym weteranom!

Podczaszyc się zarumienił.

— Prawdziwie — rzekł — nie tylem winien, ile się zdaje.

— Waćpan — przerwała nie słuchając nawet usprawiedliwienia piękna pani — odprowadzisz mnie dziś do domu... mam mu coś od matki powiedzieć... miałam list od niej...

To rzekłszy odwróciła się majestatycznie i wiedząc że zwyciężyła, że się na nią wściekać będą, rzuciła podczaszyca na resztę wieczora pastwą swoim rywalkom, które z trudnością w uśmiechach gniew tłumiły. Lucchesini przysunęła się do starościnej szepcząc do niej żywo.

— Widziałas pani co podobnego! kazała mu się odprowadzić! *C'est joli!*

— Bezwstydna! — pochwyciła z kolei blondynka, złymając białemi ramionami — tak jest pewną siebie, że byle skinęła, weźmie kogo zechce! Głupi ci mężczyźni!

— Prawdziwie — z przymuszonym śmiechem kończyła posłowa — byłby to dobry, miłosierny uczynek, gdyby jej kto podczaszyca schwycił! i figiel nieoceniony.

Spojrzały sobie w oczy — jedna myśl w nich błyskała — zamilkły bo się doskonale rozumiały. Blondynka zwróciła się żywo ku młodemu człowiekowi, znów poczynając ścigać go prześladowaniem i pół słówkami, z drugiej strony nie rzucała go Lucchesiui, podczaszyc stracił głowę i oszalał. W sercu jego biły się podniecone uczucia, myśli wrzące prześladowały głowę, oczy błąkały się z jednej twarzyczki na drugą, nie wiedząc na której spocząć miały, szalał aż cierpiał.

W tem jenerał podszedł ku niemu cicho.

— Winszuję ci — rzekł zniżając głos — trzy najpiękniejsze kobiety ubiegają się o ciebie, szczęśliwy! Wszystko to potroszę winienieś Frascatelli. Chcesz mnie posłuchać, wybierz sobie na początek starośćcinę; ładna i dobra kobiecina choć trochę kapryśna, ale która z nich niema much w nosie? Lucchesini djabeł, popędliwa, nieznosna, a ma już posła inflantskiego, z którym byś się rozprawiać musiał. A że to poeta ciąłby cię podwójnie szpadą i piórem. Od szabli kresa zarośnie, a atrament plama niezmyta! Męża nie liczę bo to minister, myśli o traktatach nie o żonie. Wielka ta pani ma tylko kaprys do asindzieja, proszę się nie urażać, potem cię porzuci, a jegomości darmo i pycha i serce boleć będzie. Strzeż się jej, to stworzenie *sine corde*! prawda że laleczka cudna, ale co z tego? starościna także ślicznotka i jak ulał dla ciebie.

Takie to były nauki jakimi karmiono podczaszyca, takie początki jego na tym świecie do którego wzdychał. Na ów wiek, w tem wszystkim nie było nic dziwnego, nic bezwstydного, bo obyczaję doszły do tego stopnia rozwiązłości, że się już wstydzic nie umiano.

## II.

Oddawszy karete swoję jenerałowi, podczaszyca pod koniec wieczora podał rękę pięknej pani, która biorąc ją powiodła okiem po posłowej, starośćcinie i reszcie dam, ukłonem lekkim pożegnała wszystkich i powolnie w tryumfie wyszła z wybranym swoim. Jenerał się

uśmiechnął rozstając się ze swoim pupillem, wykrzyknąwszy tylko :

— Ba! ba! żeby mi kto choć raz jeszcze wrócił młodość moją, ofiarowałbym się trzy całe dni pościć o chlebie i wodzie.

Że późno już dość było, powoli wszyscy się rozjeżdżać zaczęli, i starościna, która miała to w swoim charakterze, że się łatwo zrazić nie dawała, karcie swojej w ślad za pierwszą uwożącą Ordyńskiego jechać kazała, ażeby się dowodnie przekonać jak też długo podczaszyc zatrzymany zostanie u pięknej pani, która mu list od matki tłómaczyć miała. Stangreci ówcześni dobrze się na podobnych znali poleceniach, i sługa starościnej spełnił roztropnie i zręcznie jej rozkaz, a dojechawszy do pałacu w którego dziedziniec wtoczyła się karetą, przystanowił się z boku za pociągnięciem sznura.

Starościna nie lękając się dość ostrego powietrza, piękną swą twarzyczkę przyłożyła do wpół podniesionego okna powozu i z natężonym wzrokiem postanowiła czekać podczaszyca, który nad spodziewanie prędko ukazał się w futrze pieszo we wrotach, przyglądając się czy gdzie fiakra nie zobaczy.

— Rozpoznawszy go instynktem, starościna kazała podjechać i drzwiczki otworzyć.

— Siadaj pan — odezwała śmiejąc się.

Ordyński osłupiał.

— Pani tu, jakim przypadkiem? — zapytał.

— Żadnym przypadkiem, najumyślniej w świecie, chciałam się przekonać, jak długo państwo czytać będziecie ów list podczaszynej. Ale widzę że pana zwiedli, próżnąś tylko warte odbył, bo i bez niego bezpiecznie by była do domu zajechać mogła, nikłby karety nie



napadł; nie żięb-że się pan na próżno, siadaj, ja cię odwiozę.

— Ale to być nie może! ja mieszkam tak daleko!

— To być może i to być musi — odparła blondynka, ja tak chcę i każę.

Podczaszyc dał się przekonać jak dziecko, kareta zamknęła się za nim i zostali sam na sam we dwoje. Młody człowiek powoli co raz mniej dziwować się poczynął temu natarczywemu zalotnictwu pięknych pań, i śmiał się po trochu ze swego położenia.

Tymczasem dowcipna, żywa i kapryśna starościna korzystając z chwili swobodnej, usiłowała go spętać i rzucić pod piękne swe nóżki. Co tylko może dowcip, zalotność, młodość, wdzięk i szal zazdrości, wszystkiego użyła, by jutro do niej powrócić zapragnął i zapisał się jawnie w poczet jej wielbicieli; nie tyle jej może szło o zdobycz samą, co o rozgłos który mieć mogła, o tryumf nad ową pięknością i czarnemi oczyma Lucchesiniowej, których pochwały srodze ją niecierpliwiły — miała bowiem śliczne niebieskie!

Anusia, Frascatella, Lucchesini i ostatnia nawet majestatyczna piękność, wszystko się zatarło wśród tej przejażdżki, która trwając krótko znaczyła tak wiele, że podczaszyc wysiadając i całując rączkę ściskającej dłoń jego blondynki, uczuł się związanym nieodwołanie.

— Jutro na obiad do mnie — szepnęła mu po cichu — wieczorem razem pojedziemy do pani Opeckiej, będziesz mi pan służył za *cavaliere servente*. Słyszysz pan? proszę go o to i nie chcę być zawiedziona! Jutro cały dzień panu zabieram, caluteńki!

— Pilno mi świtu i jutro doczekać! — odpowiedział

Ordyński rozmiłowany i pałający. Nie chybię, chyba-  
hym umarł z nadziei!

— A! na Boga nie umierajże mi pan — odpowied-  
ziała starościna. — Z nadziei niema zwyczaju umierać,  
a ja chcę byś żył dla mnie! — dodała po cichu ściska-  
jąc go raz jeszcze ręką drżącą — do jutra, do jutra!

Kareta szybko się od wrót zawróciła, a Ordyński po-  
został jeszcze jak przybity do miejsca, nie wiedząc co  
się z nim działo, gdy uczuł lekkie ręki ściśnienie i po  
księżycu ujrzał djabelskie oblicze cavaliere Fotofero,  
kłaniającego mu się z uśmiechem powinszowania i wy-  
muszonej grzeczności.

Nie wiedzieć jak do tego przyszło, ale się już pod-  
czaszyc z temi rysami co go tak przerażały w początku,  
oswoił, i nie doznał teraz, może w skutek unoszącego  
uczucia, bolesnego, przykrego wrażenia jakie na nim ta  
twarz czyniła gdy ją pierwszych razy kilka zobaczył.  
Zdziwił się trochę, wzdrygnął, bo po ślicznych kobie-  
cych twarzyczkach trzech piękności, ujrzeć takich ry-  
sów nie można było bez wstrętu, ale zniósł to jakoś  
wesoło. Świat mu się uśmiechał i djabeł — nie wydał  
tak czarnym. Cavaliere Fotofero patrzył mu w oczy i  
kiwał głową.

— A widzisz pan — mówił — że i z moją szpetną  
twarzą oswoić się przecie można, już w panu nie widzę  
dziś tego wstrętu co wprzód i winszuję, że się po-  
woli otrząsas z dziecinnych przywidzeń! Lupina może  
być czarna, a orzech smaczny! — dodał axiomatycznie.

Podczaszyc uśmiechnął się sam nie wiedząc dla cze-  
go, ale serce mu się śmiało.

— Ślicznie, wesoło, po młodemu, poczynasz pan ży-  
cie — rzekł Fotofero — ot tak to lubię! Frascatella,

Lucchesini... ta pani starościna... jest w czem wybierać! Zresztą, po co wybierać kiedy wszystko zagarnąć można.

I rozśmiał się znowu osobliwszym jakimś śmiechem, który jakkolwiek cichy, zdawał się po pustych daleko rozlegać ulicach i rozlatywać w powietrzu powtarzany ech tysiācem.

Ordyński nie uchodził, sam sobie wyrzucał swój strach dawniejszy i dawał mówić Włochowi, słuchając go z zajęciem. Zdziwiło go tylko, że tak doskonale o najświeższych wiedział wypadkach.

— Cóż to ? pan chyba każdy krok mój śledzić musisz ? wiesz tak dobrze wszystko.

— Wszyscyuteńko — odparł Fotofero mrugając wypukłemi oczyma — a później jeszcze przekonasz się pan że i na wiele przydać się mogę, osobiwie jak pan młodemu... Panu brak doświadczenia : Poinset nie znał obyczajów naszych, generał myśli tylko gdzie co zjeść, zostawiony jesteś własnym siłom, serdecznie mi cię żał podczaszycu i gdybyś chciał doprawdy... ale widzę że się już marszczyć zaczynasz.

— Ja i owszem, słucham z wdzięcznością!

— Słuchasz a nie ufasz.

— Czemuż bym miał od nieufności zaczynać ?

— Powtarzam, mógłbym się przydać bardzo.

— Wszak i pan tu jesteś obcym.

— Ja ? ja nigdzie obcym nie jestem, obywatel świata, wszędzie jestem jak u siebie. Warszawę znam od pewnego czasu, i wyznaję że mi się teraz wcale podobać zaczyna. Jest to stolica po mojej myśli. Grają grubo, szaleją, piją, hulają, kochają się — ja to lubię, potrzeba życia używać.

Podczaszyc spojrział z ukosa na dziwnego towarzysza z jakąś niedowierzającą miną, obawiał się czy nie żartuje.

— Panu nic nie brak, byś tu wielkie miał powodzenie — kończył cavaliere — jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany, bogaty i dobrego imienia; lubił bym być w pańskiej skórze. Tylko mi się pan nie złap na jaką długą sentymentalną miłość, to wycieńcza i ogłupia... O Anusi spodziewam się żeś pan zapomniał — podszeptał w końcu.

— Co? o jakiej? — zdziwiony coraz bardziej, zapytał, cofając się prawie z przerażeniem podczaszyc.

— Zapomniałeś pan, że ja doskonale i oddawna znam Głuszę, łatwo bardzo domyśleć się mogłem co się tam święciło między Anusią a panem.

— Ale nie! nie! to przywidzenie! smutnie jakoś przerwał Ordyński z westchnieniem mimowolnem ku Głuszy, które go zachmurzyło.

— Niech nie będzie, to lepiej — odparł cavaliere; Frascatella także dziwaczna, nie dla pana wcale, mówią nawet że pocziwa, to jest głupia, nie ma tam po co chodzić.... Z tych pań będziesz sobie brał po kolei jaką zamyślisz, to rzecz nie trudna — jak grzyby z koszyka... Dobra noc, dobra noc.

Rozśmiał się znów po swojemu, aż podczaszyc się wzdrygnął, uklonił nisko i zniknął tak szybko, że Ordyński nie mógł nawet dostrzedz, w którą uszedł stronę.

.

### III.

My się na chwilę teraz przenieśmy do pustej Głuszy, w której od śmierci staruszki ciężki osiadł smutek i pustka grobowa. Odjazd Michała, nagły prawie zgon starościny, osierociły piękny pałac i zawczasu dozwoliły pająkom snuć nici zapowiadające długie ich panowanie. Ten niedawno jeszcze tak świetny dwór, milczał teraz z pozamykanemi okienicami i drzwiami, stojąc jak zaklęte zameczysko. Kilku pozostałych sług rzadko przesunęli się od oficyn, w pałacu nikt nie mieszkał, a stary Sieniński nie miał serca zajrzeć do pokojów od czasu pogrzebu starościnej.

— Podczaszyna nie powróci, kto wie co będzie z naszym paniczem — pustką to zostanie jak tyle innych gmachów u nas — aż się serce kraje, nie chciałby człek na to i patrzeć. Pan Bóg mnie pokarał za Francuzów, widać że ich tyle naklął, licho ich wzięło, ale i nam przeto nie lepiej! — mówił stary.

Obchodził on raz w dzień z obowiązku powierzone mu drzwi, dawał klucze do środka zaufanym, ale sam ni razu we wnętrzu nogą nie postąpił, tak mu serce bolało patrząc na tę śmierć powolną miejsc do których się tak przywiązał. Powoli i on też coraz martwiał, milknął, posepniał i zamierał. I nie było nikogo co by go odżywił. Anusia w żałobnej sukni chodziła po staroście, w żałobnych myślach po podczaszycu — tęsknota z niepokojem dręczyła ją razem. Siadali z ojcem i wdychali oboje, rzadko słowem odezwało się które by poskarżyć.

Ojcu żal było wędnącej córki, córce ojca i kogoś jeszcze. Dnie szły na ślimaku nudne i posępne: budzili się bez ochoty do życia, zasypiali w trwogach i nudzie. Stary ksiądz kanonik rzadko zawitał do Głuszy, bo mu wiek wycieczek dalszych nie pozwalał; zresztą Sieniński mało miał przyjaciół, nie żył z nikim prawie, a że był skąpy, nie bardzo kto się do niego pokwapił. Wabiły by młodzież piękne oczy Anusi, ale coś przebąkiwano o niej różnie, ludzie dopatrzyli się byli szeptów z pani-czem i roznieśli je na językach; inni mieli ją za wielką panią, że się przy staroście i podczaszynie wychowała, ostatnich wreszcie smutek i obojętność odstręczały.

Dość, że po opuszczeniu Głuszy zostało ich dwoje na tych ruinach, tak samotnych jak dwa na starym dębnie puszczyki.

Raz na dzień w południe, a i to nie bez wewnętrznego drżenia, szła Anusia do pokojów zmarłej staroście nej z Agatką, bo tam jeszcze po niej sprzęt, oprócz tego co komu oddać przeznaczyła, nienaruszony pozostał. Tu klękała przed ołtarzykiem i mówiła Anioł Pański za jej duszę, a ile razy przeszła pokoje osierocone, gorzko zapłakała po umarłej. Smutne to były te izdebki w których jeszcze tyle śladów ubiegłego pozostawało życia, a nie go już obndzić nie mogło. W pośrodku krzesło staruszeki, jej stół okrągły okryty makatą, wielka księga pełna obrazków, na których ręką nieboszczki pozapisywane były prośby o modlitwy za jej duszę; jej wazoniki na oknie powiedle, na posadzce ścieżka wydeptana krokami zawsze w jednym kierunku wiodącemi ją do starych sprzętów, od łóżka do krzesła, od krzesła do kantorka i ołtarzyka. Tu i ówdzie drobne ale przejmujące

jące wyrazem pamiąteczki. Palma zatknięta za zwierciadło, kartka za obrazem przypięta dla odżegnania chmury, talia kart polskich jej ręką związana, stare jej okulary, wytarta poduszka i zegar gdański, co w godzinę jej śmierci stanął znużony, niechcąc iść więcej dla obcych.

Anusia karmiła się chwilę tą żalobą wymowną, płakała i odchodziła ze spuszczoną głową, ze smutkiem w rozżalonej duszy, powtarzając biedna :

— Nigdy! nigdy to już nie wróci!

I we dwoje potem zasiadali z ojcem w pokoiku drugiej przeciwległej oficyny, na całe dni westchnień i milczenia.

— Jak się to przeraźliwie długie wyda życia, mój Boże — mówiła w duszy Anusia — jak tęskne, w jedno okno patrzeć zawsze i nie w niem nie widzieć, słuchać szumu wiatru i bicia własnego serca, liczyć żółwie godziny i drzemać pół snem nim się zaśnie na wieki.

Staremu choć się równie serce ścisnęło, inny jednak skutek wywarła na nim samotność: dziewczę dręczyło się, niecierpliwiło, egzaltowało, on drętwiał, posepniał, zamierał. Raz w dzień przeszedł do koła, podzwonił kluczkami, powrócił, usiadł, wziął książkę nabożną i drzemał — popatrzał na Anusię, powzdychał i usypiał. Anna widząc to, oblewała łzami i swój los i ojca; w niej młodość z głębi serca dobywała życie, on już o swej sile żyć nie mógł, potrzebował a brakło mu podsylenia. Czasem próbowała go ocucić wspomnieniem, piosenką, pytaniem, powieścią, ale napróżno — starzec podnosił głowę, popatrzał, odezwał się krótko, i jeśli się rozgadał, to jakby z rozdrażnioną gorzej odchodził tę-

sknotą, a po niej szybciej obumierał jeszcze. Anusia dobierała sposobów i nie znalazła żadnego na własnie mu życia, które uciekało jak płyn z rozbitego naczynia.

Niekiedy myśl śmierci błyskawicą przerznęła ponure jej dumy i drżała. Na całym, całym Bożym świecie nikogo — ona sama, jedna, bez opieki, bez podpory, a w sercu jeszcze taka miłość dziwna, co życie struć musi i spalić!

Myśli, modlitwa, podnosiły ją na duchu, lub czyniły coraz nieszczęśliwszą; jak chory oddawała się na przemian śmiesznej nadziei lub najostateczniejszej rozpacz. Ale łyż co raz stawały się częstsze, choć starzec ich nie widział.

Długie wieczory jesienne i zimowe słuchając pode drzwiami, niebyś tam nie usłyszał, prócz wolnego oddechu drzemiącego Sienińskiego i westchnień dziewczyny, która modliła się lub tęskniła. A myśl jej to biegła za straconą opiekunką, to za padczaszycem, który ją porzucił uśmiechnięty, lecąc w tę otchłań, o jakiej Anusia z opowiadań najstraszliwsze miała pojęcie. Powieści sług, plotki krążące po dworze, domyślać się jej dozwalały w jaki wrzątek wpadł Michał, i co mu tam groziło; -- ale jak go było ratować?

Poinsot, któremu powierzony był w opiekę, dobrze był wszystkim znany. Anusia wiedziała że opieka jego obronić nie może, raczej popchnie ku zgubie, byleby z niej Francuz mógł co skorzystać.

I znowu łyż płynęły bezsilne.

Tak w myślach, łzach i żałobnej modlitwie za starościne, Anusia dnie spędzała, a na jej twarzy znać już było jak wiele przeżyła od czasu śmierci i wyjazdu.



Zbladła, wychudła, a dawny uśmiech rzadko zawitał na usta i to ze łzą splątany; wzrok tylko jeszcze płonął tą siłą serca, której nie dotąd odebrać jej nie mogło.

Jednego wieczora jakoś potrafiła dłużej ojca od snu wstrzymać rozmową i poczęła go rozpytywać, czyby gdzie krewnych nie miał, sądząc, że go jakim wspomnieniem orzeźwi.

— Kto to ubogiemu krewny? — rzekł biedząc się jak miał zwyczaj stary Sieniński — at! niechnoby po sukcesją, znalazłoby się powinowatych na furi.

— Wszakże to siostra mojej matki mieszka o mil kilkanaście, i tej nigdy nie widziała.

— Ba! bo się to lepiej od nas ma, a poco by miała charłaków odwiedzać; poszła za dzierżawcę, teraz już słyszę drugą wioskę kupują.

— Ale twoi krewni, mój ojciec — spytała Anusia — wszakżeś miał podobno brata, wspominałeś mi dawniej o nim.

— Brat ci to jest jeśli nie umarł — rzekł obojętnie dość, stary.

— Gdzież on mieszka? — spytała dziewczyna.

— Mieszkał to on w Warszawie i miał tam swój dworek na Bednarskiej ulicy, ale nie wiem co się z nim teraz dzieje od lat trzech, bo mi znaku życia nie dał.

— Żonaty?

— Nie był żonaty, chybaby to głupstwo zrobił na starość — odparł mruczając niechętnie dość, Sieniński — żył sobie kawalersko, służył po panach, uciulał grosza dobrego i teraz osiadł na dewocji w stolicy, bo taki przywykł był do ludzi i hałasu.

— Musi być stary? — pytała ciągle Anusia.

— O! pewno, blisko dziesiątkiem lat odemnie starszy, a i ja nie młody. — Westchnął.

— A czemużbyśmy się nie dowiedzieli do niego — podszeptnęło dziewczę — ot, on by tam mógł kiedy nam co oznajmić o podczaszycu, a tak nigdy nie o nim wie-dzieć nie będziemy. On by może popilnował z daleka i w złym razie poratował.

Stary się uśmiechnął.

— Nie nam to, rzekł, takich panów pilnować i rato-wać, a co my im pomódz możemy? czy to tam jeszcze źle? musi hulać po Warszawie całą gębą. Labuś mu pewno myśli nie przykróci, bo i to cymes. Żeby tylko jak dziad nieboszczyk fortuny z wiatrem nie puścił, bo coś go się grosz nie trzyma.

— A! to miasto — dodała Anna — w którym i mi-liony stracić łatwo.

— Oj! oj! — rzekł stary — albo ich nie tracą byle ochota, karty kartami, hulka hulką, a też piękne panie mało grosza wyprowadzą?

Anusię zimno przejęło.

— Przyznam ci się ojczy, że się o niego śmiertelnie obawiam.

Ja się już bać przestałem — rzekł stary — bom pewny jak że żyję, że go już nie zobaczym, tak jak kamień w studnię, szukajże go na dnie.

Stary westchnął, pomilczał, głowę spuścił na piersi i powoli usypiać zaczął, Anusi gorące łzy puściły się z oczów, wstała i rzuciła się szlochając na kolana przed obrazem.

— O mój Boże — zawołała składając ręce z zapa-łem — nie daj mu ginąć w skalaniu i grzechu, uratuj

go dopóki nie zgubi duszy, ocal go, jeśli nie dla zasług jego, to przez cnoty tej świętej staruszki, która się tam modli za niego!

Ledwie po północy niepokój dał jej usnąć. A we śnie zdało się jej, że klęczała u nóg starościny, w jej pokoju — na dworze była znów wiosna zielona i słońce złocistemi migało promieniami, kanarek śpiewał w klatce w zawody ze słowikiem na bzowym krzaku — starościna modliła się z twarzą pogodną, odwróciła się uśmiechnięta weselem nie ziemskim ku biednej Anusi.

— Nie płacz — rzekła cichym, bardzo cichym głosem — nie płacz dziecię moje, i nie bój się niczego, ty jedna wyratować go możesz, i ty go uratujesz.

— Ja? droga pani, a jakżeby to mogła uczynić? spytało dziewczę — dałabym chętnie życie, lecz na cóż się ono przyda?

— Nie trzeba życia twojego, dość będzie trochę serca, pracy i odwagi. Ty musisz ztąd wygnać się do Warszawy, by go z odmetu wyciągnąć. Ja za was oboje modlić się będę i obojgu pomagać.

Ledwie tych słów, których z uwagą rozczulona słuchała Anusia, dokończyła staruszka, jasne jej oblicze rozpuściło się w promieniu słonecznym, zdawała się mienić w przejrzystą mgłę jasną, ulatywać, oddalać i niknąć; pokój pociemniał, osmutniał, Anna njrzała go nie jakim był wprzód, ale jakim go co dzień widywała — pustką grobową. Zima przysunęła się pod okno i śpiewy ucichły. Dziewczę zbudziło się, myśl mając pełną snu tego, który jej utkwiał w pamięci, jak rozkaz z niebios zesłany. Nie zmrużyła już oczów i wstała raniej niż zwykle. Ale jak ojcu powiedzieć co tylko

snem było, jak u niego wyjednać pozwolenie wyjazdu i pociągnąć go za sobą?

Anusia wahała się, dzień za dniem uchodził, co chwila wrażenie snu się zacierало, niepodobieństwo stawało w oczach wyraźniej — zamilkła wreszcie, myśląc że to było marzenie chorego serca, nie głos z nieba, co ją za nim w pogoń wysyłał.

— Cóżbym ja tam poczęła — mówiła w duchu łamiąc się z pragnieniem i strachem — ja biedna, słaba, sama jedna! jak go wyrwać z tych niebezpieczeństw, jak od nich zasłonić? Gdzie siły i męstwo po temu?

I sen ów rozniosły dumy na skrzydłach szarych, a Anusia znowu płakała niespokojna.

I jednej nocy gdy po łzach usnęła, ujrzała się powtórnie w pokoju starościnej rozwidnionym wiosną, staruszką siedziała przed nią w swem krześle z twarzą pogodną ale surowszą.

— Ty płaczesz jeszcze dziecko moje, odezwała się do niej, a nie chcesz posłuchać głosu mego.... ty jedna przecie uratować go możesz. Przeżegnaj się krzyżem Pańskim, pójdzie za tobą Anioł stróż i modlitwy moje — a śmiało w imię Boże!

I cień znikł znowu rozplywając się w obłoku, ujrzała go jak ulatywał pod niebiosa, jak w nie jasnymi wchodził wrotami. Ale jeszcze wahała się Anusia, w kilka tygodni sen się powtórzył raz trzeci. Uzbrowiona więc odwagą nową, Anna wstała postanawiając wszystko uczynić co można, by do Warszawy się dostać.

— Będę — mówiła w duchu — ścigać go okiem niepostrzeżona, zakryta, śledzić, upatrywać, a uchowaj Boże nieszczęścia, może potrafię go ratować, przychodząc

z umarłej przestrogą, z pomocą drobną ale serdeczną. O! gdybym go potrafiła wyrwać ze szponów tych ludzi co go już otoczyć musieli!! Nie! on nie zginie, ja nie dam mu rzucić się w przepaść. A potem, wstąpię do klasztoru i spokojna o niego, modlić się będę i płakać po nim do śmierci — bo nikt, nikt go tak kochać nie będzie!

Ale jak było ojca nakłonić, jak pociągnąć za sobą starego, co z krzesła ledwie się chciał dźwignąć, resztę życia uprzykrzonego snem zbywając?

Anusia nie mało sobie nałamała głowy od czego tu zacząć, ale westchnawszy do Boga i rozdobruchawszy wprzód ojca, jednego wieczora, zagadła go z nienacka.

— Mój kochany ojcie, jakby to dobrze było i wesoło, żebyśmy pojechali odwiedzić stryja w Warszawie. Przyznam ci się że mi tu trochę nudno, a i ty się nie bawisz. Wszak by to nieźle było, nieprawdaż?

Sieniński popatrzał wielkimi oczyma i przeżegnał się w milczeniu.

— A co tobie w głowie? — zapytał — toś ty widzę oszalała, zachciewa ci się podróży. Czy to ty podczaszyna czy podczaszanka? Dobrze nam tu cudzy chleb jeść, warzone i pieczone nie rozwiązując worka, to siedzmy i nie dziwaczymy. Jeszczeby czego nie stało, żebym i ja z tobą oszalał i zakasawszy poły ruszył do Warszawy.

Anusia zamilkła, spodziewała się tego, ale myśl była rzucona, reszta zależała od Boga, .... okoliczności.... powolnego przekonania. Nie brało ją wcale oburzenie starego, który syczał, gderał i drwił z córki dopóki nie usnął.

Nazajutrz Anusia swoje.

— Śmiałeś się tatku ze mnie — zawołała — i może miałeś powody, ale doprawdy nie tak to ja głupio mówiłam. Ot, wy się tu postarzejecie przed czasem, tam byście się rozruszali, ożyli, przypomnieli lepsze czasy. A co się tycze kosztu — juściżby nam tam brat kawałka chleba nie pożądał, a tutejsza pensyjka i ordynarja gracjalisty, zaoszczędziłaby się, byłby to czysty zysk.

Sieniński pokręcił głową.

— A jaki z niej filut — rzekł — no! no! już mi się wyrachowała z czystym zyskiem. A któż ci powie-  
dział, że brat nie pożąda, to skąpiec jakiego świat nie widział.

— Stary kawaler, bezdietny, choć oszczędny, dla swoich nie poskąpi pewnie.

— Jak to nie? czemu nie? poskąpi, bo mu miło skąpieć — racji nie pytaj. Darmoby może jaki tydzień pokarmił, a dalej skwaśniałaby nam strawa od humoru gospodarza.

— Ja nie sędzę — odpowiedziała Anusia — albo to taka jak ja gosposia, na nicby mu się nie przydała? toćbym za nasz chleb odpracowała; wprowadziłabym mu ład, oszczędność, gospodarstwo.

— Ot, jakto znać że asanna mego brata nie znasz; a jemu to na co? czy to myślisz że on gospodaruje? — Wiemci ja sam i od ludzi jak żyje. Kupi zrana bułeczkę za trzy grosze i mleka za dwa, to ma śniadanie, na obiad pójdzie, za osiem groszy flaków spakuje i syt — w spiżarni mu szczury gospodarują....

Anusia pokiwała główką, źle się jej wiodło, ale nie zrozpaczyła.

— Choćby i tak — rzekła — albo to mu nie rozweselim samotności, wszakże to coś warto?

— Albo to w mieście może kto być samotny, jemu spokój potrzebniejszy moje dziecko — mało mu tam nahuć pod oknami, a zechce ludzi, to tylko na ulicę wyjść.

— Toć kogoś kochać potrzebuje, a niema.

— A! a! — zaśmiał się stary — a siebież on nie kocha za wszystkich?? i szkatułkę drugą?

Anusia dała pokój, czekała trzeciego wieczora, a gdy zmierzchno, póki stary się nie zdrzemnął, znów rozpoczęła o Warszawie.

Sieniński już splunął.

— I co to znowu, czy już temu końca nie będzie? — zapytał — a toć się widzę uwzięła bzdurstwem mi głowę męcić?

— Daruj tatku, ale wiesz, że kobiecie jak się czego zechce....

— To aż kańczugiem wypędzać trzeba ochotę.

— Tego się ja nie boję — uśmiechnęła się Anusia — wyszliśmy z tych czasów, kiedy bić było potrzeba, ja już nie dziecko.

— A ja sił w ręku nie mam! — westchnął starzec.

— Ale doprawdy — dokończyła córka — ja się nie wyrzekam tej myśli, żeby jechać do Warszawy.

— Boję się żebyś na tem nie sfiksowała — mruknął Sieniński — co ci to jest?

— Zważ tylko ojcze, jakbyś ty się tam przydał podczasycowi: tam go obsiedli oszusty, próżniacy, darmozjady, karciarze — sam w nim przeczuwasz żyłkę do utraciuszostwa, strzeż Boże, przypłaczę się co gorszego? Czybyśmy naówczas przydać mu się nie mogli?

— My? albo to nas posłucha?

— Ciebie ojciec? czemuż nie, pewna jestem bo cię zawsze kochał.

— A i ja go kocham, tożem go na rękę wypiastrawał! — mruknął z westchnieniem stary.

— Widzisz ojciec, westchnąłeś, żal ci go, a poratować nie chcesz?

— Nie chcę!! ja nie chcę? Radbym z duszy, ale co może taki jak ja człowiek, zestarzały i bezsilny?

— Przy pomocy Bożej, wiele — żywo odparła Anusia, widząc, że nareszcie trafiła na czułą stronę — jestem pewna, że tybys mu wiele pomógł? że tybys go ocalił!

Stary się głęboko zamyślił.

— Dajmy temu pokój — rzekł — to nad siły nasze, porwiemy się, nie podołamy, śmiechu tylko narobim a sami zginiemy — nie krwaw mi serca.

I zamilkł. — Teraz już pewną była Anusia, że potrafi dopiąć swego; odkryła w nim bowiem prawie niespodzianie, przywiązanie do podczaszycy, i wiedziała już w co bić może. Nie dała więc staremu pokoju ani na chwilę, wymógłszy naprzód obietnicę zastanowienia się nad tem, później pół-przyrzeczenia, potem słowo że pojedą, nareszcie naznaczenie nawet dnia wyjazdu.

Cudem to było prawie, takiej tam cierpliwości potrzebowała, takiego wytrwania, uporu, by starca przywykłego już do spoczynku i rozmiłowanego w próżnowaniu, wyciągnąć z kątku, który polubił, z którego się przez lat kilkadziesiąt nie ruszył. Naprzód tedy zebrał się stary napisać do brata do Warszawy, rad bardzo w duchu, że trzeba będzie na odpowiedź czekać; ale rychło jakoś uwinęły się pocztę i list odebrał, któryby



może zataił, gdyby nie szedł na ręce Anny. Brat nie zapraszał go bardzo, ale też nie odpychał, owszem ofiarował dwie izby w dworku komornym, to jest za zapłatę, ciesząc się że będzie miał z kim wieczorem pograć w warcaby i posiedzieć przy świecy nie płacąc za nią. Wcześniej też zamówił sobie stół u Sienińskiego, i widać było z pisma że w rachunku musiał się bardzo pilnować. Serca tam było niewiele, ale trudnoż go się było spodziewać od nieznajomego. Anusia czytając list, bo okulary ojca jakoś się były zawieruszyły tak że ich wyszukać nie mógł, umiała w nim wyczytać co chciała, a ominąć co się jej zdawało niebardzo potrzebne. Sienińskiemu zaczęła się coś podróż uśmiechać, i nazajutrz poszedł opatrzyć stary swój wózek, najmować konie u żydka arendarza, myśleć o zapasach na drogę.

Przygotowania te trwały ze dwa tygodnie, gdyż im bliższy był dzień wyjazdu, tem stary więcej wynajdywał trudności, a na ostatku co tylko miał chciał zabrać z sobą. Ledwie go Anusia nakłonić potrafiła, by zostawił rupiecie, a co pilniejsze tylko wziął z sobą. Potem znów żyd nie był gotów, wózek rozeschły wymagał naprawy, i nie rychło się wybrali.

W dzień wyjazdu, Anusia poszła raz jeszcze do pokoju staruszki, aby ją modlitwą za jej duszę pożegnać, klękała we łzach u krzesła, złożyła ręce i gorąco poczęła wzywać Boga na pomoc, bo jej odwagi znów brakło.

Ale już nie czas cofać się było: podniosła oczy, wstała i przechadzając się po pokojach staroscinej kilka razy chciała każdy kątek pożegnać, niespodziewając się powrócić. Wszystko dla niej pełnem było wspomnień z tych nieocenionych lat dzieciństwa, które są tak drogie, gdy miną!

Zaglądała wszędzie, całowała sprzęty, na nie jeden łąza upadła, nie było kryjówki, kącika do którychby nie zajrzała, a w każdym, bodaj garstka pyłu, bodaj odrobina ziarna dla ptaszków, zeschłe kwiecie, papier zmięty, ręką staruszki zapisany, do łez ją rozrzewniały.

W ścianie była szafeczka w której starościna zwykle trzymała łakocie dla dzieci, to jest dla Michasia i Anny; ztamtąd to przychodziły gruszki, śliwki suszone, latem owoce lub cukierki. Annie chciało się raz jeszcze zajrzeć do tej pamiętnej szafeczki, do której nikt może nie zaglądał od śmierci starościnej. Jak-że się zdziwiła ujrawszy na półce wśród pudełek nietkniętych, w których myszki gospodarowały w resztkach słodczy — papier jakiś zapisany.

Chwyciła go z trwogą — i krzyknęła, widząc swe imię na wierzchu ręką staruszki napisane. — *Dla Anusi Sicnińskiej mojej pocziweej wychowanki. Niech ją Bóg błogosławi.*

Z początku ze łzami, z bijącym sercem nie mogła nic prócz słów tych wyczytać, w ostatku otworzyła pismo i znalazła w nim maleńki krzyżyk i błogosławieństwo.

Idziesz w świat moja Anno — pisała starościna — idźże z krzyżem świętym i mojem błogosławieństwem. Niech go ci Bóg udzieli i Matka Jego na każdym kroku ciężkiej drogi życia. Śmiało z niem dziecko moje, a wyjdiesz cało i zwyciężko; ja się za ciebie modlić będę i z góry strzedz ciebie. Niech cię Bóg prowadzi w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego Amen.

Tych kilka słów zdawały się skreślone jakby z przecuciem chwili, w których Anna znaleźć i przeczytać je miała — pokrzepiły ją i dodały odwagi. Ucałowa-

wszy, schowała drogą tę pamiątkę i weselsza ochoczo zbiegła do ojca.

Pożegnanie z Głuszą było smutne i długie, popłakali się ludzie, stary rozsłochał na dobre. Anusia nieprzytomna prawie siadła na wózek, i żydek popisując się z końmi najętymi, w galop ruszył z brukowanego dziedzińca.

Popędziły konięta lecąc z kopyta jak Indzkie uczucia, które z miejsca czwalem się ruszą, a po chwili z kłusa w stęp, ze stępa w spoczynek przechodzą. Stary Sieniński z łez przeszedł do gderania, jak się to zwykle dzieje. Anna znowu płakała, a Abramko wiokał, cmokał, popędzał, i wkrótce pałac i dworskie budowle znikły im z oczów, a szeroki świat straszny, wielki, rozwinał się przed nimi milczący, posepnemi obszary otaczając podróżnych.

#### IV.

Rok z okładem minął od czasu jakieśmy rzucili podczaszyca rozpoczynającego życie nowe w Warszawie, a rok ten mignął mu szybko niepostrzeżony, lecz jakże wielkie sprowadził zmiany. Często z człowiekiem dzieje się jak z owym bajecznym kameleonem — włóż go w chustkę białą, pobieleje, posadź wśród zielonych liści, zielonym się stanie, czarna go ziemia poczerni. Tak i tu było właśnie: podczaszyc wziął na siebie barwę wieku i miejsca, z największą łatwością zastosowując się do rozwiązłego a miłego towarzystwa które go otoczyło.

Szybkim krokiem szedł po drodze powodzeń świat-

wych, coraz głębiej w zepsucie, wziętość i sławę jakiej się chciał dorobić. Chwycił się był i porzucił kilka kobiet wyższego towarzystwa, od starościny począwszy która go odżalować niemogąc, a ustąpić zmuszona, próżno starała się jeszcze odzyskać. Wszystkie namiętności spiące dotąd, bujnie rozwinęły się w Ordyńskim, bo nikt ich nie hamował — bawił się, kochał jak kochano w XVIII wieku, grał szalenie i szalenie tracił.

Labe Poinsoł przez Ryxa, któremu skuteczne dał lekarstwo na różę w nogach, na którą nieustannie cierpiał starosta Piaseczyński, potrafiwszy sobie wyrobić miejsce przy dworze królewskim, wpół roku opuścił Ordyńskiego, mając go za dostatecznie przygotowanego do wyjścia na świat o własnych siłach. Michał korzystając z większej jeszcze swobody, ze stosunków które porobił, przykładem innych jął się naprzód postawienia domu swego na stopie odpowiedniej. Nie zważał wcale na kosztą jakie to za sobą pociągnąć miało, sądząc jak wszyscy bogaci młodzi ludzie, że pieniądź wyczerpać się nie może.

Naprzód więc nabył kamienicę na Krakowskiem przedmieściu chcąc być w pośrodku miasta, a Zugh i Merlini przerobili mu ją na gustowny pałacyk z ogrodem, w którym nie brak było ani mostków na suchym rowie, ani grot z przywiezionych zdala kamieni, ani nawet wodotrysku zasilanego kilką wiadrami wody wiślanej. Cuda te ogromnie kosztowały; zachciało się jeszcze podczaszycowi w kątku mieć ogródek z drzew karlich i zabawkę podobną ulubionej księciu ex-podkomorzemu, który maleństwami się otaczał, i to takżo urządził na podziw szczęśliwie.

Z pośpiechem przysposobiono mu dom, stajnie, oficyny, wszystko co do wygody posłużyć mogło. Popro-

wadziła za sobą ta zmiana nowy skład dworu, pomnożenie sług i wydatków, ale Ordyński brnął śmiało: przyjął kucharza Francuza, uzapasił piwnicę, ściągnął konie wierzchowe, sprawił cug tarantów przepyszny, kupił karykl modny, przyjął murzyna, ustroił janczara i zaczął żyć co się zowie po pańsku.

Wszyscy smakowi jego, wykwintności i iuwencji poklaskiwali, nikt wstrzymać nie myślał, sądząc że go na to staje. Dom podczaszyca stał się wprędce jednym z tych, do których zbierała się młodzież najświetniejsza, nawet ksiązę Józef kilka razy zaszczycił go odwiedzinami wieczornemi.

Rzadki był dzień żeby nie oświecono pałacyku i nie spodziewano się gości; stoły gry nie próżnowały nigdy, hulanki nieraz przeciągały się do dnia białego. Ordyński uprzejmy, miły, uśmiechnięty, dowcipny, używał dotąd młodości nie spotkawszy na swej drodze ani zawodu, ani przykrości, ani chmurki... każde jego życzenia spełniało się czarodziejsko i zdało mu się, że to co ludzie zwykli pleść o nieszczęściach, przeciwnościach, boleściach, i t. p. pochodzić mnsiało ze złego humoru i dziwaństwa; słowem nie pojmował, by komu gorzej od niego być mogło.

Aż lubo było spojrzeć na tę fizjognomią rozjaśnioną, promienistą i zupełnie szczęśliwą. Wprawdzie rok ten znacznie ostudził młodzieńca, zobojętnił go, odmienił, ale nie było w nim ani jednej burzy któraby jasne dni słoneczne zciemniła, choć nie było i pragnień namiętnych — spokojnie używał z zaufaniem w swoim losie.

Z dziecka nagle prawie stał się dojrzałym człowiekiem, tak szybko przeskoczył w gorączkowym życiu kres co przedziela dzieciństwo od męskiego wieku, pożerając

całą młodość w kilkunastu miesiącach. Młodość nie jest-li to wszystkiego nadzieja i pragnienie? nie jest-li to jasno-widzenie świata w idealnej szacie, miotanie się ku niemu z otwartymi rękami i gotowość do boleści, do ofiary, do wszystkiego co czuć daje życie? Starość nie jest-li utratą nadziei i pragnień? Michał nie przestał jeszcze pragnąć i używać, ale nadto się zbliżył do świata, by go mógł inaczej widzieć jak czarno i zimno-rzeczywistym. Był to już człowiek chłodny głową i sercem, temperamentem namiętny, a świat pojmujący tak pospolitym, czczym i brudnym, że strach było go posłuchać, żał na niego spojrzeć. Dziwną sprzeczność stanowiła jego młodość rzeczywista, z tem sztucznem zestarzeniem i zużyciem serca i głowy.

Dwóch nieodstępnych przyjaciół szli z nim krok w krok. Jenerał który przywiązał się do niego, bo nigdzie łatwiej jeść, pić i pożyczać nie mógł, i cavaliere Fotofero, który zawsze potajemnie widywał się z podczaszycem coraz większą otrzymując nad umysłem jego przewagę. Pierwszy poradził mu postawienie domu na stopie poważniejszej, i sam urządził niektóre jego części stręcząc mu kucharza, sławnego Rondeau, który służył u Ogińskich, wybierając wina, prawie zawsze dysponując obiady i podwieczorki, które też najregularniej co dzień zjadał, jeżeli go gdzieindziej przysmak jaki nie zwabił. Prawda, że też za to służył podczaszycowi w sprawach potocznych, posłował, chodził, często bardzo zręcznie pomagał w unizgach odciągając niepotrzebnych świadków; a czerpiąc z kieszeni pupilla, czynił to z pewnem umiarkowaniem, zawsze *in extremis* tylko, wyrachowawszy że mu ta pomoc na długo służyć będzie mogła.

Cavaliere, który tajemniczą grał rolę przy podcza-

szycu i nigdy nawet na próg domu jego przy ludziach wejść nie chciał, widywał się z nim codzień prawie na ulicy, w ogrodzie, wśród przejażdżki, ale sam na sam. I on też radził, pomagał, rozweselał, żartował, podochacał, a podczaszyc teraz znajdował go jednym z najprzyjemniejszych i najrozumniejszych ludzi jakich poznał w Warszawie. Pomimo usilnych nalegań Ordyńskiego cavaliere Fotofero nigdy do niego nie przychodził przy gościach, rozmaite dając powody ukrywania się swego. Donosił on podczaszycowi z nowinek miejskich co go obchodzić mogło, a czego inaczej dowiedzieć się było niepodobna, ułatwiał mu pożyczki pieniężne, zachęcał do gry, do hulanki i śmiał się zrzecznie z tych co inaczej życie wiedli. Podczaszyc zawsze upatrywał w jego twarzy osobliwsze, uderzające podobieństwo do szatana w obrazie Ś. Michała, ale się już na nią nie wzdrygał, pierwsze doznane uczucie zowiąc dzieciństwem i śmiejąc się z niego; teraz owszem w rysach Włocha znajdował coś wielce dowcipnego, jakąś cechę rozumu, wyraz potęgi i charakteru.

Przy wyjeździe matki podczaszyc był jeszcze na stopie młodzieńca, który nieśmiało w świat zagląda, teraz już przeszedł do ludzi mających w nim prawo obywatelstwa. Należał do wszystkich zgromadzeń, wiedział co się działo na każdym, nie było bez niego zabawy, liczono go do najświetniejszych gwiazd młodzieży. Nie było bowiem, w całym znaczeniu ówczesnym wyrazu, człowieka lepiej wychowanego do świata jak on — celował we wszystkim co mogło odznaczyć tego rodzaju pracowitego próżniaka. W grze nie było nadeń spokojniej przegrywającego ogromne summy, ani wygrywającego grzeczniej i mniej chciwie; tańczył jak bóg



tańca, śpiewał bardzo przyjemnie francuzkie piosenki, grał na flecie który był ulubionym mężczyzn instrumentem, może przez małpiarstwo Fryderyka, na klawicymbale także z pewną wprawą i biegłością, jeździł konno niezbyt mocno ale prześlicznie, powoził się w whiskey po mistrzowskn, umiał z pajęczyny wysnuwać rozmowę niby ożywioną i utrzymywać ją pół dnia, jak akrobata szpadę na palcu, niedając jej upaść nigdy; z kobietami był ujmującej słodczy i grzeczności, z mężczyznami nadzwyczaj zręczny, a w potrzebie stawał na szpady i pistolety ile razy było potrzeba, niezmrużając oka. Miał przy tem znajomości tyle, że mógł uchodzić za znawcę i diletanta w rzeczach literatury i sztuki, udało mu się niekiedy nawet sklecić wierszyk francuzki.... czegoż więcej było potrzeba by sobie wziętość pozyskać? Kobiety przepadały za podczaszycem, mężczyźni go powszechnie lubili, wiodło musieć, dziwnoż — że głowa nareszcie od tego wszystkiego zawrócić się musiała? Nie mając żadnej roli politycznej w czasie, w którym ciężko jej było nie mieć, Ordyński trzymał z dworem i z nim się przechylał w tę i ową stronę za okolicznościami. Wzdychał nad nieszczęściami kraju, utrzymywał, że nie już poratować go nie mogło, przepowiadał nawet nowe klęski, a bawił się wesoło jakby nic więcej do czynienia nie pozostawało, marzycielami i zapaleńcami zowiąc tych co poczynali inaczej. Sejmowe narady, które się ciągnęły jeszcze, zastały go pieczeniarzem w początku i dotąd tem imieniem chrzczono go jeszcze z powodu uczęszczania do dworu i przyjaźni z jenerałem. Ze wszystkiemi jednak stronnictwami był mniej więcej dobrze, przyjmował u siebie każdego, nie zadzierał się z nikim; u Lucchesiniego bywał, uczęszczał do pana Hayles, do



Małachowskiego, do Sapiehy, Ogińskich i Potockich, do posłów różnych partyj. A że wszyscy wówczas, nawet Indzie poważni i surowi, lubili się bawić i po troszę hulali, a dom podczaszyca należał do najwygodniejszych męzkich, schodzono się do niego jak na neutralne stanowisko, opinią zrzucając z płaszczem w sieni.

Gospodarz też nigdy nie napomknął nic coby się stać mogło powodem do waśni — mówiono o kobietach, o miejskich wypadkach, o obojętnych drobnostkach, zabawach, grze i t. p.

Po staroście, która cały miesiąc używała najzupełniejszego tryumfu i włóczyła za sobą podczaszyca jak zwycięzca niewolnika — Ordyński zaprzągnął się do wozu owej pięknej pani, chciał potem przejść pod sztandary Lucchesiniowej, ale go nie dopuścił już poseł Inflantski który zupełnie ją opanował, i choć nie raz zagryzała go kaprysami i napawała zazdrością, stałe trzymał się przy niej. Ludzie złośliwi mówili, że u żony posła szukał materiałów do gazety którą wydawał. Z kolei podawały sobie Ordyńskiego lekkie piękności ówczesne, a on w tym wrzasku nieznudzony, przechodził od jednej do drugiej z obojętnością młodzieńczą, dowodzącą, że albo nie miał serca, lub go nic jeszcze obudzić nie mogło.

Frascatella z razu była trochę zaniedbaną, potem znowu począł do niej pokryjomn uczęszczać, ale przekonawszy się, że tu ciężiej daleko idą miłostki niż na wielkim świecie, powtórnie do niej zobojętniał. Ona zawsze równie dlań okazywała się sympatyczną, smutnie poglądając na życie, w które się rzucił przykładem drugich.

Wśród otaczających ją w zepsutym czasie najzepsutszych istot, naśladowujących na małą skalę bezwstydy głośnych du Thé, Guimard. Clairon i tylu innych —

Frascatella była istotnie czemś fenomenalnem, i nikt jej pojąć nie mógł. Posądzano ją o wyrachowanie, o szalbierstwo, o skrytość, a nikt posądzić nie chciał nawet o pocziwość i cnotę. Gdy jej w końcu nic dowieść nie było można, rzucono ją jak nierozwiązaną zagadkę, omijając ruszeniem ramion obojętnem. Podczaszyc swoją młodością i naiwnością początkową, może wdziękiem i świeżością dzieciństwa z którem przyjechał, zajął był widocznie tancerkę, która jak z niczem tak i z tem nie tała się wcale; prześladowano ją Ordyńskim, śmiała się tylko, ale gdy poczęto napastować go by się pochwalił na jakiej był stopie z tancerką, podczaszyc jakkolwiek chciał, nie mógł przyznać się by poufalszy nad drugich zyskał u niej przystęp. Frascatella do ostatka nie skrywała przed nim, że się jej podobał, że ją zajmował, ale ile kroć chciał się przybliżyć, pokazywała mu sztylecik u pasa, a co gorzej robiła się tak surową i poważną odsyłając go do pań większego świata nic niemających już do stracenia, że Ordyński gniewny cofać się musiał.

— Więc mnie chyba nie kochasz? pytał podczaszyc.

— I owszem, dla tego może właśnie że kocham, odpycham.

— Wyznaj, że to szczególna miłość.

— Ja kocham po swojemu!

Podczaszyc nie był dotąd przywykły do tej teorii, bo żył w świecie któremu się o niej nie śniło, zżymał się trochę, ale zapomniał prędko o dziwacze Frascatelli.

Wszakże drażnił go ten opór, i ile razy na pamięć mu przyszła, powracał do niej znowu, by znów pójść z niczem i wstydem.

W chwili gdy go chwytały tak zmienionym i wykształconym, podczaszyc zajmował się bardzo gorliwie nowem na horyzoncie zjawiskiem. Była to świeżo przybyła ze wsi żona wojewody K....., od lat trzech zamężna, która cały ten czas spędziła w Paryżu i po raz pierwszy w Warszawie zjawiła się w całym blasku świeżych wdzięków, z urokiem jaki u nas każdemu nadaje otarcie się o obczyznę. Choć wychowana w kraju i ubogich rodziców córka, nabrała pani wojewodzina i tonu i powagi pańskiej, a że była prezentowaną na dworze Ludwika XVI, że miała szczęście być zapraszana przez Polignac'ów i Marją Antoanettę na wiejskie zabawki do Trianon, że z jej męża śmiano się tam trochę bo się po polsku nosił, a do króla Ludwika prawił po łacinie z dodatkiem *Mościerdzieju* i t. d. i t. d., słowem, że się otarła o to co dawało ton Europie, przyjęto ją w Warszawie jak zstępujące z obłoków bóstwo.

Para to była wielce niedobrana, pocieszna bardzo, ale szczęśliwa. Wojewoda z antenatów pan, był może śmieszniejszym w Paryżu, ale w kraju z wielu względów zasługiwał na szacunek, bo w nim jeszcze tlała resztką uczuć które dawniej kraj ożywiały. Niemłody już człowiek, owdowiawszy po pierwszej żonie która mu nie zostawiła potomstwa, ożenił się raz drugi z ubogą panienką wychowaną trochę w kacie; a trochę na dworze księżnej jenerałowej ziem Podolskich, i w tem wielki błąd popełnił. Panna Karolina miała wszystkie wady, których tylko nabyć można przez złe, niedokończone i sentymentalne wychowanie, a że wojewoda był do niej jak młokos a raczej jak starzec przywiązany ślepo i szalenie, widząc może błędy, nie miał serca ani ich skarcić, ni próbować poprawić; wojewodzina robiła co

chciała, ciągnąc go za sobą jak posłuszną ofiarę.

Jednego tylko wymódz na nim nie mogła, żeby sobie wygoliwszy łeb nałożył perukę, a kontusz zmienił na pludry i fraczek. Zaraz po ślubie zaciągnęła go do Paryża i do Włoch, gdzie już powoli cugle sobie puszczając zaczęła, a trzy lata wysiedziawszy za granicą, gdy we Francji gorąco być poczynało, powróciła do Polski, wprost udając się do stolicy — bo wsi nie cierpiała.

Można sobie wystawić, jakim rojem otoczyła ją młodzież, dla której zjawienie się nowej gwiazdy było wielkim wypadkiem w życiu próżniaczem. Poznano od razu, że chętnie hołdy czcicieli przyjmować będzie: głośny jej pobyt w Paryżu, o którym wiele mówił książę Nestor, ręczył za to. Sapieha rozповідаł na ucho każdemu o tem, kto chciał słuchać, bo mu w listach donosili przyjaciele o każdym jej kroku. Stanęli tedy do walki zapaśnicy, a podczaszyc w ich szeregach. Wkrótce widocznie faworyzowanych zostało dwóch tylko, Rybiński poseł, bliski krewny, czy synowiec biskupa kujawskiego, młody człowiek, który nie tyle rozumem i innemi przymioty, co nadzwyczajną celował pięknością, i nasz Ordyński.

Wojewodzina była, jak wiele pań świeżo wzniesionych na stanowisko w świecie o jakim ledwie marzyły, trochę dumna z losu, który swym przymiotom przypisywała, a tem większą pragnąc okazać się panią, im mniej ku temu miała prawa, trzymała się wszystkiego co jej równe czyniły, gotowa iść za ich przykładem, dalej niż sumienie pozwalało. Cieniuchna, celująca figurą, zgrabna, zwinna, żywa, wojewodzina w wyrazie twarzy i czarnych ogromnych oczu, miała aż do zbytku wiele

dumy i surowości, nadając tem sobie powagę, której brak czuła może w duszy.

Dbiała bardzo o zachowanie najdrobniejszych prawideł etykiety aż do przesady, przywiązana do wykwin-tnego stroju, do mody nawet w najmniej znaczących fraszkach, chciała być wyrocznią wszystkich w tym przedmiocie. Zresztą, była to przy łatwej mowie, przy wielkim wdzięku snycerskim, główka pusta, zajęta gał-gankami — serce nie miało się czasu odezwać. Męża wiodła nieznacznie, i dawał robić z sobą co chciała, ale zawsze miała minę posłusznej małżonki, rozkazując pokryjomu. Poczciwy ten człowiek, z wielką dumą rodową, nie zbyt wzniosłym umysłem, ale z charakterem szlachetnym i mającym stronę piękną — nie wiele się trwożył o żonę. Wiedząc że wiek wymagał pozorów płochości, nie przypuszczał by żona jego, którą miał za istotę wyższą, zniżyła się do jakiejś występnej intrygi; miłostki prawie publiczne były tak pospolite, że na nie nikt nie zważał.

Otwarcie domu ich w Warszawie, na chwilę zachwiało wieczorami starościnej małogolskiej i Opeckiej, rzucili się tam wszyscy, ale na wstępie znaleźli tyle ceremonji, stopniowań praktyk dworskich i wymagań etykiety, że większa część zupełnie się cofnęła, a inni zrzadka się tylko pokazywali.

Rybiński i podczaszyc dotrzymali placu przy świetnej gwieździe nowej, a ostatni nawet nie zląkł się wojewody, który go solennie nudził powagą swą, polszczyzną, łaciną i starym sposobem pojmowania rzeczy. Ordynski zdawał się więcej zajęty wojewodziną, niż kiedykolwiek którą z tych pań co go sobie wyrywały. Czemu zabiło serce? czy szlachetniejsze obndziło się przy-

wiązanie, czy po prostu była to tylko fantazja i próżność? nie wiem. Rybiński równie uparcie stał w miejscu nie ustępując mu kroku, bo kochał istotnie, a nie wielkiej będąc głowy, uczucia miał gwałtowne, pasja zaczynała już w nim dochodzić do szału niemal. Dwaj współzawodnicy mierzyli się oczyma, ścigali myślą, ale pozostali z sobą w stosunkach grzeczności zimnej jak wprzód. Wojewodzina nie zdawała się żadnego wyróżniać szczególnie, trzymała obu na uwiezi. co naturalnie każdy z nich przypisując wpływowi antagonisty, jątrzył się i burzył wewnątrz.

Tak stały rzeczy, w chwili gdy znowu chwytały podczaszyca z nową twarzą, z nową duszą, ścigającego szczęście, gdzie go nigdzie nie było.

## V.

W domu podczaszyca zebrało się jak zwykle wieczorem liczne towarzystwo, grą szczególniej ściagnione. Czy to skutkiem jakiejś obojętności gospodarza, czy niedomyślności jego, dozwalał on w domu swoim zakładać co wieczór banki ludziom wielce podejrzanym, przybłędom z końca świata, tym właśnie i podobnym jakich widzieliśmy już u księcia podskarbiego, okrzesanym filutom, w których obfitowały wszystkie stolice XVIII wieku, a do Polski szczególnie zwabiły pieniądze i sława rozrzutności naszej.

Jednym z najpoufalszych teraz był tu ów Włoch, u podskarbiego zaprezentowany przez cavaliere Fotofero, który był u podczaszyca jak we własnym domu. Szcze-

gólniejszym jakimś zrządzeniem, Ordyński grając z nim sam prawie wygrywał, czasem okroiło się coś jenerałowi, reszta gości nieszczęśliwie wychodziła, i wielkie sumy często zagarniał bankier.

Był to człowiek bardzo starannego wychowania, i znać bywalec na wielkim świecie, kawaler dwóch jakichś mitologicznych orderów, których wstążki różnobarwne nosił w pętlicy, mówiący niemal wszystkimi językami, słodki jak lukrecja, uprzejmy, zresztą osłonięty tajemnicą, bo nikt o przeszłości jego nie wiedział słowa. Zwał się Cerulli, mieszkał zrazu w pałacu Potkańskich u księcia podskarbiego, ale gdy na niego spadło obwinienie i gdy go przytrzymano, wyniósł się z tamtąd ostrożnie, najął sobie lokal obszerny i dawał świetne wieczory. Że zaś do niego jako do cudzoziemca i nieznanego mało kto przychodził, wolał grywać u podczaszycy.

Na pozór niemający żadnej pasji, zimny, niezbadany, z wejrzeniem, które spotykał każdy wycelowane ku sobie niespodzianie, nie mogąc zmusić by się otwarcie ze wzrokiem jego zmierzyło; Cerulli dla Ordyńskiego był czuły, przyjacielski, ale zbyt może narzucający się ze swoją poufałością, traktował bowiem podczaszycę na stopie równości. Znosił to gospodarz bo grać lubił, zrobiwszy sobie z gry nałóg, a z Cerullem grał jak chciał i zawsze dosyć szczęśliwie. Jenerał protegował go także, nie tak może dla gry jak dla bolońskich salcesonów i mortadelli, które u niego zjadał, popijając wybornem winem hiszpańskiem. Tajemnicza ta postać we dnie mało widoczna, zjawiała się nocą z niedoperzami i o brzasku znikała — co we dnie robił, nikt nie wiedział. Z mowy sądzić było można, że się alchemią zabawiał,



bo mienił się uczniem Cagliostro, przebąkując niekiedy o tajemnicy robienia złota.

Tego wieczora goście napływać już zaczęli i salo-  
nik się napełniał, gdy Cerulli wszedł powoli, ukłonem  
wszystkich zimnym powitał, poufale podał rękę podcza-  
szycowi i rozsiadł się w krzesło obok kasztelana Ł.....,  
głębokiem milczeniem, zamyśleniem lub półsłowem dwu-  
znacznem zbywając zapytania, które mu zadawano.

Podczaszyc najmodniej strojny we frak papuziego  
koloru, w węście ze srebrnej lamy na tle blade - różo-  
wem, przesłiznie upudrowany i wyfryzowany misternie,  
w koronkach, które parę tysięcy talarów kosztować mo-  
gły, rozparty na kanapie, nogę założywszy na nogę, może  
dla pokazania przepysznych klamer u trzewików, bawił  
się dewizkami od zegarka, składającemi się z gruszek  
koralowych, ametystów i granatów, i z modnego naów-  
czas bardzo sznurka z włosów, zakończonego kutasem  
brylantowym. Obok, marszałek sejmu, książę Nestor,  
przybyły tylko na chwilę, siedział smętny i zmęczony,  
za nim poseł inflantski, uderzający fizjognomią pełną  
dowcipu, życia i łagodności, dalej Wejssenhoff, Mostow-  
ski, Bielawski, Witten, generał Garczyński, koniuszy  
Kicki, a nawet Komarzewski, kupkami się pozbiali  
szepcąc między sobą.

Rozmowa zaczynała się ożywiać, bo ktoś się wów-  
czas nie zajmował gorąco wszystkiem co w koło wyra-  
stało jak grzyby na wiosnę, z nieporównaną szybkością  
zjawiając najniespodziewaniej.

Nigdy może umysły do większej czynności podbu-  
dzone nie były, nigdy wszyscy aż do najmniejszych, nie  
zajmowali się tak bardzo wypadkami bieżącemi. Mnó-  
stwo mów, wierszy, epigramatów, rozpraw, paszkwilów,



roztrząsań, krążyły drukowane i pisane po Warszawie, wiele z nich z prawdziwym dowcipem, z wielką siłą i uczuciem na papier rzucone były, i potężne też czyniły wrażenie. Kommentował je każdy, powtarzano, odpisywano; nigdy tylu satyryków i pamfletiarzy nie miała Polska co w ówczas. Celował tu sarkazmem ostrym i dobitnością Węgierski, ale obok niego ileż nieznanych lub zabytych tuliło się poetów, którzy z czasem przeszli, bo dla swego tylko czasu pisali. Pisma ich głównie przeznaczone do działania politycznego, w tej sferze żyły i obumierały. Mowy nawet, jak owa sławna szambelana Turskiego, miane w sądzie sejmowym, przechodziły mimo woli w krytykę obyczajów. To wszystko dowodziło, że się poczuwano do zepsucia i pragniono poprawy, choć nikt nie chciał dać z siebie przykładu. Dziwna rzecz, Turski w tej oracji sejmowej, zbyt wyprężonej i wypracowanej ale pod względem myśli bardzo znaczącej, która miała tak znakomity rozgłos w kraju i wywołała piękną odpowiedź wierszem — mówił nawet o kobietach!

Jak ta mowa, jedna z tysiąca, tak wszystkie wypadki, każde słowo, żarcik, plotka, rozchodziły się, powtarzały z ust do ust i dawały powód do poezji, satyry, epigramatów. Poeci śpiewali nawet fiaków warszawskich prosząc, by im po nocy kartek po rogach ulic rozlepiać nie przeszkadzali.

Całej tej literatury wywołanej ówczesnemi wypadkami, skutek na umysły był ogromny. Trembeckiemu teraz przypominano jego *Ma pan rozum*, z listu hetmana do księcia podskarbiego wyjęty, i z okazji ostatniego powtarzano, że nie miał ten *Pan rozumu* ale kto inny go dowiódł, zamiast być sądzonym, dowodząc tego, że zasiada w sądzie.

Nic też nad ten agitujący się sąd na podskarbiego nie wzbudziło więcej poezji satyrycznych (począwszy od supliki księdza Spirydjona plenipotentjarjusza delinkwentów warszawskich do marszałka nadwornego litewskiego Potockiego) i nic nie zaszkodziło mocniej partji hetmana i księżnej jego siostry. Wołano głośno o sąd na hetmana, a prośba do księżnej w czasie sejmu, zjadliwością nie da się z niczem porównać. W tym rzędzie politycznych pamfletów, policzyć można ciekawe także rozmowy umarłych: Sołtyka, Garnysza, Dekerta....

Smutny był los uwięzionego podskarbiego, przy którym z tych co wprzód jedli z nim i pili, żyjąc jego szczodrocią lub namiętnościami, żywa teraz nie pozostała dusza — rodzina tylko i to wahając się, niechętnie, bo imię jej w błoto wciągnął i jeden *anima damnata*, wierny sługa księcia Adama, kapitan Kukunus. Reszta, począwszy od tego co pisał mu, *ma pan rozum*, cofnęła się i odstąpiła, przechodząc do sądu lub uchylając się na bok, a pałac Potkańskich pozostał pustką, którą ledwie niekiedy wieczorem ktoś nawiedził, okupując milczenie grzecnością.... Jest podobieństwem, że to milczenie podskarbiego tak było potrzebnem, a zdawało się niepodobnem, iż mu ucieczkę dwukrotną nie sama rodzina dla czei swojej ułatwiała, ale i ci co się sądu dla skandalu obawiali. Truchlał nie jeden wysoko siedzący, gdy przyszło traktować z więźniem, żeby nie przypożywał tych co z nim razem trzymali i bładzili. Można sobie wystawić jak skóra drżała na sędziach, co chwila obawiających się, by im nie przyszło ze swych krzeseł przejść na ławę obwinionego. Ale tu ten hulaka, rozpustnik, człowiek co się zwał zarówny w życiu prywatnem i publicznem, więcej miał litości i charakteru,

niż drudzy wstydu i odwagi.

Kasztelan N...., księżna wojewodzicowa Sapieżyna, cierpieć może najwięcej od paskwilistów którzy im straszliwie i nieustannie dopiekali; pierwszemu wyrzucano zbogacenie się z prymasa Podoskiego, wydarcie wdowiej majątności, potem zejście z Walewskim dość jakoby nie-szczęśliwie zakończone, bo zbity miał za to wziąć 12,000 złotych okupu... Pomimo tych rzucanych na siebie nieustannie paskwilów, kasztelan na sejmie bardzo głośno rozprawiał — ale ledwie się z czem odezwał, zatykano mu usta paskwilem. Najdrobniejsza okoliczność dawała powód ku temu, i gdy na przykład Grabowski dał sto batów Stokcowskiemu burgrabiemu warszawskiego grodu, spadły i one wierszem na grzbiet kasztelana; śpiewano piosnki na cześć kowala Marjańskiego, zarazem nielitościwie chłoszcząc partję hetmańską, w której generał Kurdwanowski, strażnik koronny Mierzejewski, wojewodzicowa i księżę Nestor główne grali rolę. Tym się codzień a nieustannie zarówno z kasztelanem dostawało, a prawdziwą męczarnią dla nich był czas sądu na podskarbiego, tak że księżę podskarbi, zwany Verresem, wyglądał prawie na niewiniątka i upadkiem wzbudzał litość, stawiony obok Sylli, który go miał sądzić i praktykował sobie swobodnie jak wprzód. Do rzędu najdowcipniejszych w tym rodzaju wierszyków, należy nagrobek podskarbiemu, niezmiernie wówczas powtarzany. Ale któż zliczy te stosy świstków, zagadek, spiewek, rozmów, satyr, często ohydnie cynicznych, ale z zniezmiernym uczuciem i dowcipem pisanych?

Towarzystwo warszawskie z czasu sejmu czteroletniego tem się tylko zajmowało i żyło, a każdy dzień coś mu przynosił na posiłek — potępienie jednych,

drugim owacją. Podnoszono pocziwego kowala, spisywano gorszące biografie senatorów, których krzesło uznać nie mogło, uwydatniając tylko dawniejsze plamy wyższem stanowiskiem; karty paskwilów przylepiane, rozrzucane, w miejscach publicznych, na domach obwionionych; a co ich widziały wówczas dom Potkańskich, pałac hetmana i wojewodzicowej, dom w którym się zbierali członkowie Rady Nieustającej i t. p. zliczyć niepodobna. Poszukiwał dotknięty, poszukiwali adherenci jego autorów tych pism pokątnych, piętnujących jak żelazo gorące, ostrzono zęby, zasadzano się, grożono kijmi, ale napróżno. Wszyscy wiedzieli kto pisał, a każdy milczał.

Intrygi wojewodzicowej, która z hetmanem na współ pracowała, usiłując w nie pociągnąć syna, pozostającego w pośrodku i jednym podejrzanego, drugim nie oddającego się całkiem, musiały być wielkiego znaczenia, gdy je tak srogimi ścigano obelgi. Trafiło się, że ową sławną prośbę do księżnej, poczynającą się od wyrazu *przedwieczna*..... na jej własnej karety drzwiczkach ktoś przylepić potrafił.

Odczytawszy ją, mało nie umarła; Kurdwanowski wraz z Lipskim jenerałem latali klnąc że autora zbiją na kwaśne jabłko, ale gdzie się mogli domacać? Palcami wskazywano szambelanów królewskich na których ciążyły podejrzenia, ale Węgierski, Molski i inni chodzili bezpiecznie po świecie. Nie jeden co milczał wobec partji hetmańskiej lub zimno potakiwał jej projektom, wynosił z domów w których się zbierała, nowy przedmiot do najjadowitszej satyry.

Nigdy też może Warszawa nie przedstawiała obrazu więcej ożywionego a wybitniejszej nie miała fizjognomji. Co krok spotkałeś postacie, wydatne typy jakie

tylko wydaje społeczeństwo w sile zdrowia, lub gdy ostatecznym walczy o nie bojem. Obok Węgierskich — Bau-chery, obok Zajączka — Kurdwanowscy, obok posła Inflantskiego, Niemcewicz, Trembeckiego — Molski na przykład, typ w swoim rodzaju, lub kasztelan Ł....; obok Turskiego — Komarzewski, dalej dowcipny Turkuł, ze-psuty Poniński, ognisty Kołłataj i tylu innych. Tuż szlachetniejsze postacie posłów, a z nimi Małachowscy i Zamojscy, naprzeciw hetman, wojewodzie, starty i mdły typ księcia Nestora, a w ostatku całe stado dworaków i dworek.

Wszystko to działało, ruszało się, zajmowało najmniejszych dnia zjawiskami, aż do sług, dworu, czeladzi, aż do woźnic co stojąc przed salą sejmową wołali do siebie — precz z *pieczniarzami*. przodem patrioci; każdy głośno mówił przekonanie swoje lub je puszczał na niepodpisanej ćwiartce w świat po aprobatę, i nie mignęło jedno słówko niepochwyczone, bo każde do żywota należało. Widziałeś tam na twarzach wszystkich to upojenie egzaltacją. rozmarzenie, które się spotyka tylko w chwilach stanowczych, wielkich przedsięwzięć, lub nieszczęść wielkich — słowom odpowiadały czyny, czynem szły w pomoc słowa i serca. Nie było chwili wypoczynku, nie było godziny wytchnienia; wychowani w potrzebie rozkoszy, pół dnia bawić się, pół dnia pracować musieli, a oboje wyczerpywało życie.

W tej chwili, jakżeśmy rzekli, uchwały sejmowe, sprawa księcia podskarbiego, wiersze rozrzucone z tej okoliczności, były właśnie na stole wraz z nowinami francuzkiemi; a że u podczaszyca zbierali się ludzie różnych stronnictw, krom naczelników, mówiąc dosyć swobodnie, starano się być ostrożnym i nie drasnąć nikogo. Roz-

prawiano zawsze mniej więcej w duchu dworu, i z pewną sympatją dla partji Branickiego. Sam Ordyński bez głębokich przekonań szedł za kierownikami, nie wiele jeszcze myśląc o tem co się działo w koło niego.

Poczęła się więc rozmowa o przedmiotach bieżących, ujął ster kasztelan i zręcznie począł o podskarzim, o jego rodzinie, o dawnem życiu nawet, bo dziś wszystko wyciągano na jaw dla potępienia. Wystąpił z dobrze znajomemi sobie dziejami całego domu księcia, jego żony, syna, brata Kaliksta, śmiejąc się dowcipnie z brudów które zgrozą napęlniać były powinny serce każdego człowieka. W istocie dana przez brata poręka, przyczyny dla których cofnięta być miała, tak się wydawały ohydnie, że lepiej było to pokryć wszystko litościwem milczeniem.

Ale któż wówczas miał litość?

Już przecie drugą porękę za więźnia dał był Leszczyński, a książę z niej korzystał i wszyscy przepowiadali że lada dzień uciec powinien. Rozprawiano o nim, o naradach prawodawczych, a kasztelan przywykły drwić z duchowieństwa, choć fortunę zrobił przy prymasie, na sejmie ostro przeciw niemu powstając i tu koncepta swe niesmaczne powtarzał. Właśnie ofiara, którą stan ten uczynił na potrzeby kraju, dostarczała mu przedmiotów do zabawnych ucinków. Powtarzał każde słowo senatorów, duchownych, i komentował je nielitościwemi dodatkami.

Wypadki także paryżkie budziły we wszystkich najrozmaitsze uczucia. Z uniesieniem rozprawiano o szczegółach wzięcia Bastylli, o upadku feudalizmu, o objawieniu praw człowieka, a nikt jeszcze nie umiał osądzić surowiej następstwa jakie szereg tych wypadków ciągnął

za sobą. Pałano naśladowaniem, gdy obok, w przeszłości własnej praktyczniejsze prawdy leżały niepojęte, lub powierzchownym potępione sądem.

Na wyprzódki każdy najsurowiej sądził kraj swój i stary w nim porządek rzeczy; najrozsądniejsi nawet chcieli burzyć, goniąc za utopią. W czasie całej tej rozmowy, którą jakeśmy powiedzieli podsycał sejm i wypadki we Francji, Cerulli i kilka innych osób siedzieli w ostrożnem milczeniu. Kasztelan jaśniał wymową i krzyczał tak głośno jak na obradach, nie umiejąc powściągnąć do większej sali przywykłej deklamacji. Nikt nie miał nadzwyczajnego poszanowania dla miernych wcale talentów człowieka, którego przeszłość cień rzucała na nowszą i do miary czasu zastosowaną rolę, ale wyręczał wielu, gadając za wszystkich, słuchano go chętnie.

— Mości panie — rzekł powstając wojewoda K... mąż pięknej Karoliny — wszystko to śliczne może, doskonałe, ale ja nasze stare czasy wolę, a teraźniejszego wyznaję że nie rozumiem.

— To nie dziw — odpowiedział, nie dając się nikomu uprzedzić kasztelan z intencją szyderstwa — są to czasy, któremi brzemienne chodziły wieki.

— Daj Boże, aby się przy porodzeniu nie okazało jak z ową górą w bajce, odezwał się wojewoda — i żebyśmy nie doczekali się *ridiculus mus* na końcu.

— Jest wielu partyzantów staroświecczyzny — rzekł mowca — ale póty u nas nie będzie dobrze, póki się nie pozbędziemy właśnie starych przesądów.

Poklášnięto *przesądom*, był to wyraz prześladowany. Bóg wie co się wówczas zwało tem imieniem, wszystko



co przeszkadzało i wadziło — małżeństwo między innemi liczyło się do przesądów.

— Zacni panowie — przerwał z kąta Baucher — co się tycze przesądów, jednym z najgubniejszych jest późna wieczerza, prosimy gospodarza by ją kazał przyspieszyć.

Wszyscy się z tego zwrotu rozśmieli.

— A potem do gry — zawołał ktoś z tłumu — aby czasu nie tracić.

Wojewoda ciężko stęknął.

— Wszystko u nas nie potem — rzekł — mieszczan przerabiają na szlachtę, szlachtę mieszczańią.

— I wino piją — przerwał znów Baucher — nie-poczciwe stare węgierskie, ale ten francuzki kwasek co ledwie chorego mógłby zaspokoić.

— Mówisz pan o szampanie?

— Szampan! śliczny mi szampan, mruknął wojewoda.

— Doskonała anegdotka — zawołał generał, który usilnie widać politykę chciał przerwać, autor jej *prae-sens* potwierdzi, jeśli mu skromność przyznać się dozwoli. Niedawno jeszcze przywieziono kosz tego szampana za osobliwość przez Teppera, księciu Lubomirskiemu. Nadszedł właśnie Komarzewski z ranną wizytą, książę siedział w kąpieli. — Kochańciu, rzekł do generała, przysłało mi nowe francuzkie wino, ma to być coś osobliwego, ale też i kaducznie drogie. Trzeba by spróbować. — A! odpowiedział Komarzewski filuternie, słyszałem o tem winie... — Jakto? nie próbowałeś go nigdy? — A nie. — No, tyś przecie znawca, zrób mi tę grzeczność pójdz go spróbuj, powiesz swoje zdanie. — Zadzwoniono, wyszedł z kamerdynerem generał dla spróbowania wina, książę po kąpieli położył się w łóżko.



Komarzewskiego niema i niema; w dobre dopiero pół godziny powraca. — A cóż? zabawieś się. — Dobywali, odkorkowali, marudzili. — Próbowaleś? — Próbowałem mości książę. Jakże ci się zdaje? Tak! tak, limonadka! nie zły sobie kwas! ściskając ramionami, rzekł obojętnie jenerał. nie radzę księciu z tem się popisywać, bo to tego beczkę u nas każdy wypije.

Na tem się skończyło, książę ciekawy, wieczorem każe podać wina — niema go. — Gdzie się podziało? — Do ludzi, a tu okazuje się, że pan jenerał próbując, cały koszt tej limonadki wypróbował.

— Ale ba! — przerwał Komarzewski bardzo serjo — byłem prawie naczczu i świeżom się pogniewał, potrzebowałem ochłodzenia.

— Tegoby z węgrzynem nie dokazał! — rzekł wojewoda.

— Kto to wie — odparł adjutant królewski — bywało różnie, teraz mi już nogi jakoś nie służą, choć głowa jeszcze strzyma.

Jakby na zawołanie wniesiono wino, i kielichy poszły kołem. Cerulli wziął jeden, ale z nim jakoś manewrował, że zawsze miał go pełnym i nic nie pił. Wkrótce zaszumiało w czuprynach, rozmowa stała się żwawsza, swawolniejsza, otwarto drzwi do jadalni, tu do reszty podochocili się niemal wszyscy, a dopieroż do kart. Wojewoda, który oprócz w marjasza nie grywał w nic, z kieliszkiem sobie na boku pozostał, inni rojem stół obsiedli, między niemi młody Rybiński, którego twarz od początku wieczora pałała jakąś gorączką, a oczy nieustannie zwracały się na gospodarza. Cerulli dawszy się trochę prosić dla ceremonji, posłał do swojej karety po szkatułkę i bank otworzył. Podczaszyc siadł do gry

także; towarzystwo było liczne, umysły rozgrzane winem i rozmową, ale jak skoro pieniądź błysnął na zielonym stole, zaszeleściały czarodziejskie karty, serca uderzyły strachem i nadzieją, zwróciły się wszystkie twarze, upadła ożywiona pogadanka i liczenie przerywane tylko sykaniem lub wywoływaniem stawek, rozciągnęło swe skrzydła nad niemi.

Rybiński grał z chmurnem czołem i gorączkowym niepokojem. Kilka dni temu przegrał był kilkaset dukatów, a że kieszeń jego nie była zbyt przeciążona, zdziwiono się zobaczywszy że znów ze trzystą przed sobą położył; krótko jednak przed nim poleżały i zwyczajem codziennym poczęły wędrować do banku jedne za drugimi, tak że w godzinę pozostał bez grosza. Na pięknej jego twarzy namiętność gry wyrzyła najnieszlachetniejszy wyraz gniewu — cisnął kartami o stół i powstał z krzesła, wołając głośno:

— Prawdziwie u pana podczaszyca tylko podczaszycowi grać można, on jeden wygrywa!!

— Jak to pan rozumie? — podnosząc głowę zbłądły ale spokojny, zapytał Ordyński.

— Jak ja to rozumiem to mnie wiedzieć, a pan sobie bierz jak chcesz, to mi wszystko jedno.

W ręku Cerullego karty drżały, Ordyński szepnął słowo jenerałowi i grał dalej, ale konwulsyjnie drżący. Rybiński powoli odszedł od stołu zgrzytając zębami.

Baucher wziął go do okna.

— Starościcu kochany — rzekł — przykrą mam miśję, ale cóżes powiedział, to obelga!

— Tego nie odwołuję!

— A zatem pojedziesz z nami do Jeziernej, dasz nam satysfakcję.

— Wszelką jaką chcecie, oprócz tej żebym wam więcej przegrywał, bo tu noga moja nie postanie. Ogrywajcie sobie na wspólkę z Włochem całe miasto, życzę wam szczęścia. Słowa te wymówione wpół głosem, doszły uszu podczaszyca, który zagryzł wargi i grać przestał. Dogonił u drzwi Rybińskiego.

— W moim domu — rzekł — nie chcę się unosić i prawom gościnności ubliżyć, ale niech pan wie, że w każdym innem miejscu byłbym mu dał natychmiast naukę jak się język trzyma za zębami.

— Możemy się znaleźć i gdzie indziej — obojętnie dość odpowiedział Rybiński — kto od kogo i jaką wezmie naukę, to jeszcze pytanie.

To mówiąc trzasnął drzwiami i wyszedł. Wrzawa za nim powstała wielka, ale zapamiętali gracze słysząc ją nie ustąpili od stołu, aż Cerulli dociągnawszy talji zabastował.

Jedno śmiałe słowo rzucone w pasji przez Rybińskiego, sprawiło ten skutek na nieszczęśliwych graczach, że choć żaden ustami myśli tej nie powtórzył, wszyscy jednak spojrzeli po sobie, i nie biorąc strony podczaszyca, wkrótce opuścili go wynosząc się po cichu i zostawując z poufałemi.

W godzinę może po tym wypadku, generał tylko, Poinsoł, który zdala był sceny świadkiem i niejakiś pan Parnawski przyjaciel domu, co się kręcił trochę przy dworze, a trochę gdzie z komina kurzyło, w pustych zostali pokojach.

Było to jakby uderzenie piorunu, wśród którego Cerulli, niby nic nie rozumiejąc, zagarnawszy grosze wymknął się cichaczem. A że zwykle bawiono się tu do dnia, a goście wcale nie wzięli strony podczaszyca, miało

to wielkie znaczenie. Wiedział Ordyński, że słowo starościca obudziło podejrzenie wszystkich, zmieniając je w przekonanie prawie, że mu niepowetowaną na czci wyrządziło krzywdę. Pierwszy to raz zachmurzyło się jego czoło, a generał i Parnawski napróżno usiłowali go rozweselić i wytłómaczyć mu jako tako zniknięcie gości. Podczaszyc rozumiał dobrze co to wszystko znaczyło, a przypominając sobie okoliczności gry, swoje wygrane, stałe niemal nieszczęścia drugich, dziwił się teraz sam że wprzód nie zwrócił oczów na Cerullego.

Tymczasem trzeba się było przygotować do pojedynku, co, jakkolwiek śmiałemu, trochę zakłótało sercem. Generał z p. Parnawskim ofiarowali się nazajutrz do starościca pójść po warunki. Cała ta awantura natychmiast przez gości miała ogromny rozgłos w mieście, a że często słowa jednego dosyć by cień rzucić na najpoczeiwszego człowieka, cóż dopiero gdy są pozory słuszności? Podczaszyc w jednej godzinie odsądzony został od czci i wiary. Wszyscy szeptali że dom trzyma nad skalę, że przyjmuje po królewsku, wydatki ma ogromne a dobra obciążone, i każdy odchodził jeśli nie z przekonaniem szalbierstwa, to z wątpliwością obelżywą o poczeiwości Ordyńskiego.

## VI.

Jedno nieszczęście nigdy samo nie idzie, trzymają się one pod ręce, i włoką gęsiego. By jedno na próg, tylko co i drugich nie widać. Nazajutrz podczaszyc siedział rano u siebie zadumany i ponury czekając powrotu posłów, nie wiele o pojedynku, więcej o różnych

jego tłumaczeniach rozmyślając, gdy mu znać dano że marszałek dworu, miał już bowiem i intendenta, niejaki pan Frejer, nastroczony z ręki jenerała, chciał się pilno z nim widzieć. Nie lubił Ordyński tych posłuchań i narad, wiedział bowiem że koniec końcem zamkną się ogromnym rejestrem i żądaniem pieniędzy, a kasa się wyczerpywać zaczynała, ale cóż było robić.

Głuszę i dobra Ordyńskich dobrze już była od śmierci starościnej zahartowała podczaszyna, która powypuszczawszy w zastawy, i dzierżawy co mogła, zabrała pieniądze, chcąc sobie kupić willę jakąś w pobliżu Florencji. Reszty co z tamtąd przyszło, podczaszyc tracił, i jeszcze pozaciągał był znaczne długi, tak że niewiadomość tylko stanu interesów spokojnym go o nie czynić mogła; w istocie były w najstraszliwszym nieładzie.

Pożyczał w Warszawie na wszystkie strony wielkimi sumami, u bankierów, u żydów, winien był po handlach za towary bardzo wiele, a choć dotąd kredyt się włókł, bo coraz wierzycielom dawauo coś na rachunek, długi na czas w którym zaciągnięte zostały, były przerażające.

Karty trochę, dom, życie wystawne, wzięły co zkał się urwać dawało, kieszeń była pustą. Czerpali z niej przyjaciele, zbytek, rozrzutność, namiętność i złodziejstwo. Widzenie się więc z panem Frejer, wcześniej przykrem poczuł podczaszyc, a gdy zobaczył tego jegomości, w czarnym fraku szczelnie pozapinanym, nisko kłaniającego się w progu, ogromną dźwigającego księgę, dobrze mu już znaną, skrzywił się i porwał zniecierpliwiony. Miał on ten chwalebny pański zwyczaj, że nigdy w rachunki nie wзираł — dawał pieniądze, brał, sypał, ale się nie rozpatrywał ani jak przyszły, ani któredy po-

szły — wszelka praca i natężenie umysłu choć chwilo-  
we, były mu nieznośne.

— A cóż tam pan powiesz panie Frejer — rzekł do  
intendenta, który zawsze nasrożony, poważny, nigdy nie  
dopuszczający się uśmiechu, wyglądał gdyby Kato, choć  
z tą miną stoicką kradł gorzej wszystkich co kradli —  
(a było ich dosyć!!).

— JW. panie jest okoliczność ważna.

— Co tam przecie ?

— Ot dziś rano jak gradem sypnęli mi rachunkami  
dostarczający kupcy, zwąchawszy o jakimś pojedynku.

Podczaszyc wstrząsnął się od gniewu.

— To nie pora wypłaty ! — zawołał.

— Jabym tych ichmościów przykładnie ukarał —  
rzekł z miną rezolutną Frejer — płacąc im zaraz i za  
grosz u nich nie biorąc nigdy więcej — ale w kasie  
nie ma pieniędzy.

— Waćpan nigdy nie masz pieniędzy !

— Jam temu nie winien, JW. pan zechcesz przejrzeć  
rachunki, feniga nie brakuje, a na każdy ekspens są  
aneksa i dowody.

— A dajcież mi pokój !

— Ale cóż pocznę z temi natrętami ?

— Odprawić ich, zbyć, wypędzić, co waćpan chcesz !  
pierwsze pieniądze które wpłyną, służyć będą na opła-  
cenie ich, zmienię kupców....

— Jednakże JW. panie, trzeba by coś radzić, mogą  
być natrętni.

— A ludzie od czego ! — krzyknął podczaszyc w gnie-  
wie — odpędzić ! — Pomiarkował się po chwili. —  
Zresztą — rzekł — zawołać Aarona, wezmę u niego i  
zaspokoję tych ichmościów.

— A jeźliby Aaron chybił? — spytał drobnostkowy i regularny Frejer.

— Natenczas weźmiemy gdzieindziej, a waćpan mi dziecinstwem tem głowy nie kłopotcz — ile to wynosi?

— Ogółem może przejść trzy tysiące dukatów, nie licząc tych, co się jeszcze nie upominają.

— Tak wiele?

— JW. panie, to jeszcze nie wszystko.

Podczaszyc pochodził żywo.

— Dość tego — rzekł — nie pora to rachunków, innym czasem, innym czasem...

Frejer skłonił się, ale uparcie pozostał i księgę nawet począł rozkładać.

— Czegóż chcesz jeszcze? — niecierpliwie spytał Ordyński.

— Co mam zrobić, jeźliby gwałtownie się naprzykrzali?

— Mówilem ci, do jutra! Lub... co chcesz... rób, radź, płąć, wypędzej, a mnie się nie pytaj co począć, co innego mam na głowie.

— Kiedy JW. pan przyjść każe?

— Gdy cię zawołam, panie Frejer.

Niemiec potarł czoło frasobliwie.

— Bądź pau zdrów.

— Ale mi grożą sądem i zajęciem...

— Śmieliby? ta hałastra?

— Nie wiem czego się tak zlekli, jest to okropne zu-chwalstwo — ale potrzeba radzić, potrzeba radzić.

— Posłać więc po Aarona, do jutra...

Jeszcze by był może stał dłużej we drzwiach Niemiec, który nie łatwo z placu schodził, ale generał i pan



Parnawski weszli właśnie, pierwszy blady i sztywny, drugi nadto czerwony i zmieszany widocznie.

Podczaszyc spojrzawszy na nich poznał że nie musiało im pójść gładko. — Jenerał milczał nie spiesząc mówić, kapitan Parnawski, (był bowiem jakimś kapitanem *in partibus infidelium*) chodził rozgorączkowany. Frejer skłonił się, odszedł powoli. Ordyński przyskoczył do nich niecierpliwym.

— No jenerale, mów! kiedy? gdzie? jak? coście postanowili!

Baucher połknął slinkę, odchrząknął, spojrzął na towarzysza i jak to bywa gdy przemówić trudno, widocznie na niego chciał zrzucić ciężar spowiedzi. Ten sapał, ale nie okazywał wcale ochoty mówienia, ruszył ramionami i odskoczył z pantominą zdającą się oznaczać — a mnie to do czego?

— Cóż to jest? no! mówcież przez litość — z kolei do obu się zwracając, wykrzyknął podczaszyc — mówcie!

— Ale czekajże niech się wysapię — odpowiedział jenerał — wreszcie — niech się namyślę od czego mam począć.

— Cóż tu się namyślać? kiedy? gdzie? jaka broń?

Znów Baucher wejrzał na kapitana jakby go o litość prosił, a kapitan się zżymał tylko, uciekając od niego w drugi koniec pokoju.

— Jenerale, tylko bez tych powijaczek, mów, proszę, coście zrobili! Chcecie bym zwarzował, przecież się nie zlekne!

— Ale bo! ale bo! — przerwał stary dworak. — Podczaszycu, każ mi dać kieliszek wina... w gardle mi zaschło z gadania i gniewu... Rybiński warjat!



— Wiem o tem !

— Głupi człowiek !

— Być może, ale strzelać się z nim muszę.

— Ale ba, Rybiński — wykrztusił wypiwszy wino Baucher — Rybiński bo nie chce się bić.

— A toż znowu co ? — krzyknął Ordyński — chce żebym go zbezczeszczył publicznie ? Jakąż może mieć rację ? Wczoraj sam prawie mnie wyzywał.

— Tak, ale tu nastąpić musiały jakieś podłe rady i ukartowano inaczej.

— Cóż mogli ułożyć ? wrąc i tupiąc nogami jak dziecko, zapytał podczaszyc.

— To głupiec sam nie wie co gada !

— Ale coż mówi na miłość Boga, co mówi ? nie drażnij mnie, oszaleję.

— Co ? chcesz wiedzieć co ? — przerwał Baucher, porywając się z kanapy cały zbnrzony, bo czuł że mu te sceny żółć poruszają i robią chorobę, która zwykła się była kończyć czasem żółtaczką — co ? ot co plecie. truteń — że ponieważ — ale mów bo Parnawski !

— Albo to pan jenerał gęby nie ma ! — zuchwale odparł kapitan.

Podczaszyc stał błądy jak ściana, niemy, a myśl jego trafiać już musiała na obelgę, którą miał odebrać.

— Mówi Rybiński — wykrztusił Baucher — nie będę się z nim bił, bo kto szulerów w domu trzyma i gra z nimi na współkę ściągając do siebie na karty, ten z uczciwym człowiekiem mierzyć się nie wart. — Wypowiedziawszy wreszcie te ciężkie słowa, jenerał padł wysiłony w krzesło.

Ordyński czerwieniał, bladł, zmieniała mu się twarz kilka razy, zdawało się że zemdleje i padnie, słowa za-

strzegły mu w gardle, pot wystąpił kroplami na blade jego czoło, w ostatku począł przychodzić do siebie i rzekł ścinając usta:

— Dziś mu jak psu w łeb strzelę.

— Nie — odpowiedział jenerał — to już zły interes, wiesz zapewne czem to pachnie pod bokiem króla, w czasie sejmu, pod jurydykcją marszałkowską taka awantura. Przypomnij sobie jak sądzono Taylora że się tylko na Ryxa porwał! Jabym po prostu nasłał na niego ludzi i kazał mu, jak Grabowski Stokowskiemu, wyciąć odlewanych sto nahajów, to by go rozumu nauczyło.

— To mało! — wybuchnął podczaszyc — to nic! plama, którą rzucił na mnie, krwią się tylko zmyć może i powinna.

Zadzwonił ręką drżącą.

— Charles — rzekł do kamerdynera — podaj mi krucice, proch i kule.

Jenerał który wszystkich podobnych tragicznych historii nie lubił, a wiedział że się tu na coś nie żartem zabiera, miał się już ku rejteradzie. Parnawski patrzył i milczał.

— A gdyby — odezwał się — wprzódki kijmi, jabym panu podczaszycowi nastreczył do tego bardzo tęgich ludzi, co by go w białe dzień wyciągnąwszy z karety gotowi osmagać.

Podczaszyc słowa nie odpowiedział, tylko usta dumnie podniósł, brwi ścisnął i począł w milczeniu nabijać krucice.

— Ale bo nie wiesz jeszcze katastrofy — dodał jenerał schylając się już ku czapce — ten szelma Cerulli, kat go wie co za jeden...

— Cóż znowu Cerulli? — spytał podczaszyc drząc a usiłując udać flegmatyka.

— A, uciekł gałgan z miasta wczoraj jeszcze, *nee locus ubi Troja fuit*, zabrał się z manatkami i drapnął w nocy, Bóg wie dokąd.

Podczaszyc znów błady się zrobił jak ściana, i zęby straszliwie mu się zacięły.

— Ha! — rzekł — i temu nie radzę się spotykać ze mną!!

— Ale bo w istocie — z wymówką cichą wystąpił Baucher — dość byłeś nieostrożny podczaszycu, kto to ludzi tego kalibru wpuszcza tak na poufalej stopie do domu?

— Alboż go nie przyjmował hetman, ksiązę marszałek, kasztelan i inni....

— Tak, gdy go tu wprzód poznali! Kto wie co to za ptaszek. Rybiński słysząc zgrał się do koszuli i długu zrobił z tysiąc dukatów, nie dziw że go to za serce wzięło. Inni prawdę powiedziawszy także nie małe tu sumy posadzili, choć ja narzekać nie mogę, ale ja gram ostrożnie i rano wstać potrzeba żeby mnie ociać!

Podczaszyc milczał.

— Jadę natychmiast — rzekł do jenerała — będę się do nocy włóczył póki Rybińskiego nie przydybię i w łeb mu nie wypalę.

— Zdaje mi się — chłodno odparł Baucher — że go dziś nie spotkasz. — A pomyślawszy, że wypadałoby niebezpiecznej awanturze zapobiedz, wziął za kapelusz i sposobił się do wyjścia, mrugnawszy tylko na Par-nawskiego, żeby pozostał i podczaszyc pilnował. Kapitań chętnie to uczynił, ale z Ordyńskim ciężka teraz była sprawa, ani się słowa od niego dopytać, nie wie-

dział co się w koło niego działo, chodził obłąkany. Nie pożegnawszy jenerała, nie spostrzegłszy Parnawskiego, położył pistolety nabite i począł się machinalnie ubierać, spiesząc i targając co mu podawano.

## VII.

W godzinę potem zaszła karetą, i Ordyński w kieszenie fraka powrzucawszy krucice, wyjechał z wizytami, ale jenerał domysławiając się gdzie być może, wszędzie go uprzedził.

Usłyszał on, że taka obraza płazem Rybińskiemu ująć nie może, obawiając się wszakże, by w pierwszej chwili gniewu nie skończyła się bardzo tragicznie, przeleciał ważniejsze domy, do innych rozesłał oznajmując co się święci. Część też wczorajszego wypadku w mieście wiadoma była, i prawdę mówiąc, nienajlepsze uczyniła wrażenie, gdyż każda potwarz przyjmuje się łatwo, a przyjeta wyrasta szybko. Przypominano sobie zbyt pańskie podczaszyca życie, przebąkiwano o zrujnowaniu, tu znów ucieczka Cerullego, zarzut do reszty czyniła podobnym. Karetą podczaszyca wszędzie zastała drzwi zamknięte. Był to dla niego cios ostatni, którego mężnem sercem znieść nie umiał. Im mocniej przekonywał się że go nie przyjmowano umyślnie, tem boleśniej cierpiał i wpadł prawie w paroksyzm szału, gdy mu na ostatku i drzwi wojewodzinej odmówiono.

To go w samo serce uderzyło najboleśniej.

— Do domu! — zawołał — do domu!

Powóz potoczył się po bruku, a podczaszyca w głąb jego się rzuciwszy, patrzył tak oślepieniami oczyma na

iniegające ulice, że nic nie widział przed sobą, i kilka osób z którymi się spotkał nie poznał.

Z drogi zmieniwszy myśl, kazał zawrócić do jenerała. U bramy Krakowskiej, żebrak nawet Orlandini z pychą się jakąś od niego odwrócił, niby go nie spostrzegł, uczuwszy zapewne zdaleka wypróżnione kieszenie. Jenerała równie jak innych w domu nie było.

Podczaszyc pomyślał i kazał się wieźć do Frascatelli.

Nie wiem dla czego mu teraz na myśl przyszła, gdyż bardzo dawno jej nie widział. Może u niej kogośkolwiek ze znajomych spotkać się spodziewał, potrzebując gwałtownie rady, bo szalał zostawiony sam sobie i chwilami przebiegało mu przez głowę wpaść do mieszkania Rybińskiego, i we własnym domu w łeb mu wypalić. Że jednak krewny biskupa kujawskiego stał obok niego i prawie z nim razem, a dom senatora i posła dwojako był nietykalny, zawahał się Ordyński.

Frascatellę zastał samą jedną, smutną, zatopioną w fotelu i chorą. I ona od czasu jak jej nie widział wiele się odmieniła — i ją odstąpili przyjaciele znalazłszy nazbyt surową, zbyt dziwaczną, a tymczasem biedne dziewczę warzyła i wysuszała tęsknota za krajem, o którym marzyła we snach, opłakiwała na jawie. Choroba niszczyła ją gwałtownie, za nią przyszedł i niedostatek zajrzeć do obsypanego wprzód darami możnych mieszkania. Pusto było do koła, ona sama jedna, łyzy w oku, twarz blada, wejrzenie tylko błyszczące jeszcze a usta uśmiechnięte smutnie jakoś, grobowo.

— A! dawno! dawno! jakeśmy się nie widzieli podczaszycu — zawołała Frascatella, podając mu rączkę wyschłą i białą — cóż to się stało żeś tak był o mnie

zapomniał? Tak dawno żadnej już wesołej nie widziałam twarzy, nie słyszałam uśmiechu! Wszyscyście mnie porzucili, dzięki ci, żeś choć późno sobie przypomniał że ja jeszcze żyję!

Podczaszyc stał przed nią, ale tak zmieniony, drżący, błądy, że za drugim wejrzeniem Włoszka domysliła się wielkiej jakiejś w życiu jego zmiany, i pomimo osłabienia porwała się, załamała ręce, pytając ścichłym nagle od uczucia głosem.

— Co ci to? podczaszycu!

— Mnie? nie! — odpowiedział Ordyński nieprzytomnie, siadając drżący, bo czuł że mu się nogi chwiały, nic... nic.

— Jako, nie? — wpatrując się w niego zapytała tancerka — nie możesz mnie zbyć taką odpowiedzią, na twarzy twojej napisane jakieś nieszczęście. Co cię spotkało? mów? kto cię zdradził? kobieta?

Pierwsza jej myśl była o kobiecej zdradzie, podczaszyc z pogardą ruszył ramionami.

— To się nie liczy! — rzekł z gorzkim uśmiechem.

— Ale mów pan, na Boga!

— Ja i ty, widzę — rzekł Ordyński oglądając się — jesteśmy zarówno zdradzeni przez cały świat i opuszczeni od wszystkich. Wczoraj jeszcze wieczorem byłem ich ulubieńcem, dziś się mnie zaparli i odepchnęli. Ale się pomszczę! pomszczę się krwawo!

Frascatella nic zrozumieć nie mogła, oczy jej żywo biegały po twarzy przybyłego, by tajemnicę wybadać, a nic odkryć w niej nie umiały.

— Powiesz-że mi pan — co to się stało?

— Na co mówić? ktoś ci tu inny zapewne pospie-

szy przynieść wieść o mojej hańbie, o wstydzie. Ja idę, ja iść muszę...

Zerwał się. Biedna dziewczyna przestraszona, krótką chwilę sądząc, że go do niej serce i litość przywiodły, opadła na krzesło smutnie spuściwszy głowę na piersi.

— Myślałem że tu kogo znajdę — rzekł. — Sapięgę, jenerała, kogokolwiek, chciałem wiedzieć co się dzieje ze mną! poradzić! idę... lecę dalej!

— Biedny! — ze łzą w oku szepnęła Włoszka, tak był szczęśliwy niedawno! tak mu się świat uśmiechał. Jak on teraz potrafi znieść nieszczęście, kiedy ci co się z nim żyli, usychać muszą na ręku jego i umierać! — Podczaszycu! — dodała głośno — słowo proszę cię tylko. Ja od kilku tygodni z krzesła się już nie ruszam! ja nic nie wiem. Pocziwy Bekler, który mnie przez litość odwiedza, zakazał mi tańca pod karą śmierci... ale to nic! ja i tak umrzeć muszę... Może byś mnie chciał dokąd posłać? Może ci na co przydać się mogę? mów, proszę...

I zerwała się gorączkowo z fotelu chwytając za poręcze i stół, twarz jej zarumieniła się, usta drgały: podczaszyc spojrział i serce się mu otwarło — nieszczęście je poruszyło dopiero, łza zakręciła mu się w oku.

— Dziękuję ci — rzekł — dziękuję serdecznie, ale cóż mi tu pomódz możesz gdzie idzie o życie, o krew, o zemstę...

Frascatella zadrżała i upadła zemdlona. Podczaszyc zostawił ją na ręku sługi, a sam jak szalony poleciał znowu pukać od drzwi do drzwi... ale wszędzie z zimną

twarzą odpowiedziano mu..... nie przyjmują! Wściekły zawrócił do siebie.

Mrok szary poczynął zalegać ulice, a chmura nad miastem zwieszona, milcząca, jasnymi błyski wiosennej burzy rozświecała niekiedy fantastycznie ulice, na których przechodzący i przejeżdżający migali jak cienie.

Nagle zatrzymała się karetka i twarz djabelska Fotofera ukazała się w jej oknie. Podczaszyc schwycił się i machinalnie porwał za pistolet, djabeł się rozśmiał tylko.

— Tobiem winien — zakrzyknął Ordyński z pasją — całe moje nieszczęście... tyś jego sprawcą...

— Ja? ja? co? — spytał obojętnie cavaliere.

— Tyś do mnie sprowadził tego psa Cerulli, za którego pokutuję.

— Cerulli to mój kompatrjota — no? — i cóż?

— Nic nie wiesz?

— Ja zawsze wiem wszystko.

— To oszust!

— Nie, podczaszycu, zacny człowiek!

— Po cóż uciekł?

— Uciekł? on? wysłany został w ważnej, bardzo ważnej sprawie łóż Melchizedecha...

— Zgubił mnie!

— Jakto zgubił? — spytał szatańsko się śmiejąc Fotofero — samiście dobrowolnie głowę stracili...

— A mógłbym nie stracić jej? ty wiesz wszystko... drzwi mi dziś zamykają, każdy odwraca się odemnie.

Błyskawica oświeciła w tej chwili twarz cavaliiera zimną i przejętą nielitościwym szyderstwem.

— To naprzód źle — rzekł chłodno — że nie masz



pan taktu i powściągnięcia. Świat sobie, my sobie — niech gadają, odwracają się...

— Cóż to za rada?

— Gdybyś pan przed jenerałem papłą nie narobił wrzawy i hałasu — jużbyś do tej pory miał w rękach Rybińskiego i byłbyś czysty.

To może prawda — odparł podczaszyc — ale cóż począć?

— Masz pan pistolety?

— W kieszeni.

— Każ zawracać — rzekł cavaliere wsiadając do karety — jedziemy razem, dam ci ofiarę w ręce. Zemsta jest zbyt szlachetnem uczuciem, uczuciem dzieci natury, dodał śmiejąc się, bym ją miał tamować jak drudzy... Krew, tak, tylko krew zaspokoić ją może.

— Hej! na Nowolipie! — krzyknął do woźnicy. Podczaszyc ostygl jakby czarodziejską dotknięty laską, widząc się tak blisko zabójstwa, które przez cały dzień marzył i układał. Słowa cavalierra otrzeźwiły go dziwnie, ale cofać się nie chciał, myśl tylko podawała mu wszystkie zbrodni następstwa i przerażała niemi.

— Trafimy na Rybińskiego — rzekł Fotofero — pieśzo idącego od swoich przyjaciół. poznasz go pan łatwo po jasno-piaskowym płaszczu, celuj tylko dobrze, a potem uciekaj.

— Uciekać! — zawołał podczaszyc, któremu się w głowie pomieścić nie mogło jak teraz Warszawę porzucić, tak wszystkie węzły, które wprzód lekceważył, silnie go do niej krępowały, a ze wszystkich najmocniej miłość ku wojewodzinie. — Uciekać! ja nie mogę!

— No! no, o tem potem, zrobisz co zechcesz —

rzekł cavaliere — teraz idzie nam o rybkę naszą, baczność, celuj pan dobrze, życzę szczęścia!

To mówiąc, kazał się w rogu ulicy przyzastanowić karecie, sam pod rękę ujął podczaszyca i mimo kropiącego deszczu, wyprowadził go z powozu na miejsce jakieś pod domami.

— Stój pan tu i uważaj — rzekł — za chwilę Rybiński iść musi...

Uchylił kapelusika i zniknął.

Najrozmaitsze uczucia poczęły miotać Ordyńskim, w którym na nowo zawrzała chęć zemsty i odezwała się zadana obelga. Dobył krucice, odwiódł kurki i z okiem obłąkanem upatrywał piaskowego płaszcza.

## VIII.

Sienińskiemu i jego córce droga się jakoś nie wiodła, i stary wkrótce zmęczony, chciał już po kilkakroć zawracać do domu. Możeby to był uczynił, gdyby nie córka dodająca mu ducha i odwagi. Nareszcie przekołatawszy z biedą pół drogi, bliżej już będąc Warszawy niż domu, musiał nieborak kończyć co rozpoczął. Żydek Abramko wcale nie był na furmana stworzony, koni do zbytku żałował i obroku także, jechał nadzwyczaj powolnie, często się zdrzemnywał, nie bardzo na trakt uważał, a że co do najlichszych gospód dla tańszego furazu zajeżdżał, Sienińscy nie wiele mieli wygody. Nie było przytem dnia żeby ós nie pękła, koło nie zleciało, uprząż się nie psuła, a przynajmniej kilka razy nie porwały postronki, co wszystko wiele opóźniało jadących i bardzo ich niecierpliwiło.

Abramko zaś nie dawał sobie nawet mówić, żeby w czym sam lub konie jego winne być miały, a ze starym ujadał się ząb za ząb, dowodząc że na całym świecie lepszych koni i furmana nie dostanie.

Anusia, spokojny świadek tych niepowodzeń, robiła co mogła by ulżyć ojcu, w drodze nie myśląc o sobie wcale, a okiem śledząc rychło się pokaże ta upragniona Warszawa.

Ale wiele wieź się pokazało i znikło, wiele minęli miasteczek i białych murów i dworów, które biednę zwozili, a stolicy nie było i nie było widać jeszcze.

Jednego wreszcie poranka, mgłą i dymami uwieczniona, rozsiadła szeroko nad brzegiem pięknej Wisły, czarodziejską swą masą dziwnie skupionych domostw, pałaców, kościołów, zaświeciła stara Mazowska królowa. Annie serce zabiło.

— On tam! on tam! zawołała, i z wielkim strachem poczęła się modlić.

Ogrom miasta które w miarę jak się zbliżali coraz potężniej się rozrastało i zdawało rozciągać bez końca, przeraził ją i zasmucił.

— Jak go teraz znaleźć w tym świecie, w tym wirze!

Stary także Sieniński przypatrywał się grodowi w posępnem milczeniu, z niejakim wyrzutem spoglądając na córkę która go aż tu zawiodła. I jego zatrwożyła ta mnogość murów, to mrowisko ludzi. Już zbliżając się do miasta, zamrużywszy oczy poznać je mogłeś po otaczającym powietrzu, w którym unosiło się tysiące różnych wyziewów dziwnych; po wrzawie ludu co płynął i odpływał z tego morza. Wozy z drzewem, włościanie z wszelkiego rodzaju na targ idącymi zapasami, wojsko, słudzy pańscy, karety, cugi, poczty, żydzi, szlachta, że-

bractwo, coraz tłumniej w miarę zbliżania się otaczali wózek. Anna tuliła się do ojca, który zdawna na wsi żyjąc, ani takiego gwaru, ani ścisku i ruchu wyobrażenia nie miał. Kłaniał się co chwila próżnym powozom i po bratersku salutował panów szlachtę na podjezdkach z obrokiem w trokach kłusujących do miasteczka. Malownicza rozmaitość strojów czyniła ten tłum mieszaniną oryginalności pełną; każdy poczet wojskowych szedł w innej barwie, każdy prawie żołnierz inaczej umundurowany, ten zielony, drugi czerwony, ów z piórem, inny z kitą, — w baranich i lisich kapuzach szlachta, w sobolich kołpakach żydzi, mieszczenie w holenderskich kapeluszach, kontusze różnych województw, żydówki w muszkach, perłach, załózkach i pantoflach, chłopci w swoich szarych sukmanach, Węgry olejkarze w sinych płaszczykach, pobożni pielgrzymi ciągnący do Częstochowy w sukniach czarnych, księża wszelkiej barwy — kogoż tam nie było! Wśród tego chaosu i tłumu, ciągnęły karoce pańskie o czerwonych kołach, długie, wyłacane z wysokim koziołkiem, z lokajami na tylnych stopniach pozaprzęgane dereszami, izabellami, tarantami, lub malowanymi końmi (był jeszcze i ten zwyczaj); tu i owdzie przemykał się posłaniec z listami, kursor pieszy, lub kozak z Ukrainy na dziarskim koniu w burce, z osełdecem z pod czapki wymykającym się za ucho.

Wjechawszy na Pragę, Abramko, stary Sieniński i Anna tak się zdurzyli, że żyd rady sobie dać nieumiejąc, w początku pośród powozów i koni ścisku, stanął chcąc przeczekać natłok, myśląc że był chwilowy. Ale się wkrótce pomiarkował że się tego nie rychło przebierze, i udając że koniom tylko dał wytchnąć, pociągnął powoli dalej, kierując się jak mógł na most.

— Więc to nie była jeszcze Warszawa! zawołał stary Sieniński w duchu, cóż to dopiero tam będzie.

Po setnych dopytowaniach o dworek brata, stary odszukał go nareszcie na Bednarskiej ulicy i co prędzej wjechał w dziedzińczyk chcąc trochę odetchnąć. Tu żywego ducha w początku, nareszcie z pod mizernej kletki zbitej z tarcic i desek, do starego muru przypartej, wysunęło się coś bardzo niepoczesnego, tak dziwne jakieś stworzenie, że w początku rozeznąć było trudno mężczyzna czy kobieta, a nawet czy człowiek. Figurka ta miała może półtora łokcia wysokości, ogromny garb na plecach, głowę skrzywioną nim ku ziemi, nadzwyczaj wielką i straszną, ręce niepomieranie długie, a nogi koszlawe zakończone stopami kolosalnych rozmiarów. Stworzenie to okryte łachmanami, było poczwarnie brzydkie i odrażające. Podniosło nieco przyrosłej głowy, otworzyło usta i krwawemi oczyma błysnęło na przybyłych, ale gdy mówić szybko poczęło, nie było go sposobu zrozumieć. Poczęło pytać o Sienińskiego, ale ani chciał odpowiedzieć, ani myślał odpowiadać, podniosłszy kij zaczął wypędzać, krztusić się, łajać, i choć wyrazu żadnego dopytać nie mogli, domyślili się łatwo że ich precz odganiał. Zajadły ten obrońca podwórza, był jedynym stróżem i sługą pana Kaspra Sienińskiego.

Skąpiec wybrał go sobie przez oszczędność z pod kościoła Bernardynów i umówił za jedno nocne w budce schronienie, co ledwie dobremu psu służyć mogło, do pilnowania domu. Żebrak powinien był zawsze na noc powracać, i gdy Sieniński wychodził rano, dworku przez ten czas pilnować. Resztę czasu kaleka siedział pod kościołem blizkim za jałmużną. Dziś pierwszy raz od niepamiętnych czasów zobaczywszy zajeżdżający w dzie-

dziniec wózek, sądził że szturmem chcą wiaść domostwo i bronił go jak mógł. Już żyd dobrze po plecach oberwawszy chciał się cofać, gdy stary pan Kasper powrócił z wotywy przed N. Panną, której co dzień u Ś. Jana słuchał, i walkę tę przerwał nareszcie.

Dwaj bracia spojrzeli na siebie, nie poznali się ale domyślili i z mokremi oczyma rzucili w objęcia. Warszawiak starszy był znacznie od wieśniaka, ale o wiele wydawał się młodszym. Był to wysokiego wzrostu, znać piękny niegdyś mężczyzna, ubrany czysto, zwinny, gadatliwy, dosyć wesół, z ogromnym siwym wąsem podkręconym do góry, z wysoką laską w rękę, ze srebrnym w uchu kółczykiem, który do polskiego stroju nie wiedzieć jak się przyplątał. Kółczyk ten, pamiątka po pewnej pannie Domicelli, dla miłości której dał sobie niegdyś pan Kasper ucho przekłóć, pozostał mu na starość jedynem po niej wspomnieniem.

Bracia którzy się wieki nie widzieli, dziwili się swej starości, gospodarz potem zwrócił się do Anny, którą galancko w rączkę pocałował, gdy ona właśnie to samo przez uszanowanie dla stryja uczynić chciała.

— No Hołodrygo, rzekł przybyły do żebraka stojącego jeszcze z podniesionym kijem, ruszaj sobie wasze pod kościół, a ty żydku zamykaj wrota i pilnuj się bo tu złodziejów a sprawnych więcej niż wody w Wiśle. Ty zaś kochany bracie i kochana moja synowiczko, do śródka proszę, proszę, odpocznijcie.

Kamieniczka a raczej dworek Sienińskich, wielka to była lichota; ściśnięty dwoma wielkimi kamienicami piętrowymi, wyglądał jak grzybek między dębami, nisko, i ubogo, zdawna niereperowany, ściany miał czarne, dach

dziurawy, okna niezbyt całe, a stary skąpiec niemogąc najać nikomu, sam cały zajmował.

Wnijscie było jedno tylko od podwórza, u dwóch okien z ulicy kraty grube jak w więzieniu, a że obok na przeciw stały wyższe domostwa, a uliczka była wązka, ledwie trochę bladego światła dochodziło do ponurego wnętrza. Izby były stare, niskie, sklepione, wilgotne, sień czarna, dwa długie pokoje po bokach, większy jeden po środku, od dziedzińca ciupek parę całą zajmowały budowę.

Pan Kasper wprowadził gości swoich do głównej największej izby, w której że był czarny stół, trzy podobne stołki, ława, piec z zielonych kafel i wielki Pan Jezus na ścianie — zwała się ona gościnna.

A! jak straszne się to wydało więzieniem po przestronnych i wesołych mieszkaniach w Głuszy, po jej drzewach i ptaszętach otaczających każdy budynek. Tu tylko skrzyp wozów, wołanie woźnic i kłatwy ludzi słychać było, a trochę błota rozlane na pogarbionym bruku stanowiło widok cały.

— Siadajcież proszę, odezwał się stary — odpoczywajcie. Bieda moja że gospodarstwa w domu nie mam żadnego, a to bym was rad czem poczęstować. Ale ja tu nie jadam, rzekł krztusząc się — jest tu kuchenka, można by coś zwarzyć, nawet resztką drewek z zimy się płacze... może macie też co z drogi.

To mówiąc spozjrzał po przybyłych i niebardzo rad znalazł ich smutnemi, zaraz z tego wróżąc sobie o go-liźnie, której się obawiał gorzej moru.

— Rozgośćcie się tu sobie, Anusia każe znosić tłó-moczki, a my z bratem dodał, może pójdziemy pogawę-dzić do mnie.



To rzekłszy i ciekawie spojrzawszy na manatki które żydek ściągał, wziął Sienińskiego pod rękę i zszedł z nim do swojej izby.

Ta smutniejszą jeszcze może była od pierwszej, ubóstwo czy skąpstwo biło z niej przykro w oczy. Żadnego prawie sprzętu, nic do wygody, łóżko a raczej wyleżany barłóg, stół rzeźbiony bez nogi kijem podparty, fotel bez siedzenia deską pokryty, kufer stary otworem, a z niego widać liche rupiecie, w kominie kupka popiołów, w kącie miotła, u drzwi szecerbaty dzbanek, kilka świętych obrazków, Częstochowskiej fabryki, na ścianie rzędem poprzyklepianych, oto wszystko. Była to cela Anachorety, zimna, ponura, ogołocona ze wszystkiego co oko zatrzymać i rozweselić mogło. Przybyły pan Jan, przywykły do wygodek, uczuł dreszcz przechodzący po plecach i smutnie oglądając się westchnął.

— Ale ty widzę coś braciszku — rzekł — w nie-najlepszym jesteś stanie — tak u ciebie ubogo!

— A! a! westchnął Kasper — jak widzisz — istotnie, ledwie się żyje — czasy drogie, tylko że z głodu nie umrę. Dworek kosztuje co rok, a grosza z niego nie mam złamanego szeląga — jeszcze stróża płacę, a co do ratusza nabiorą, strach! Jeszcze to taka szatańska ulica że i w komorne nikt się nie stręczy — a ciężko! ciężko!

Spojrzał z ukosa na pana Jana.

— Dobrze żeście do mnie się zwlekli, weźciej jakoś razem będzie, dwie izby wam odstąpię — za to będziecie mnie wiktować... i opalać a zresztą i oprać możebyście też powinni, i do opłat miejskich się przyłożyć — a ja już sam nic od was za to nie wezmę.

Znów spojrzał badając.



Stary pan Jan nic nie mówiąc oglądał się, tak mu ta nędza zdawała się dziwą i niepojętą.

Anna tymczasem w pierwszej izbie płakała trochę schwytana chłodem, pleśnią i ciemnotą tego mieszkania za serce.

— Gdzie on? mówiła sobie, jakby go tu znaleźć? jak się o niego dowiedzieć? — jak tu jakoś smutne życie! zdaje mi się żem w więzieniu.

Nazajutrz już weselej wyglądały izby, bo w nich gość Anusia ustroiła trochę puste kąty, oczyściła co się dało. Gospodarz poglądał na jej robotę z rezygnacją, ale jednak nie bardzo chwalił w bijanie ćwieków wścianę.

Odszedł z rana wedle zwyczaju na mszę do Fary, resztę dnia ciągle siedział z przybyłemi. Gaduła to był dość miły, człek bywały, z którym gdyby nie jego śmieszne skąpstwo, wybornieby żyć można. Stękał tylko gdy mu o sobie mówić przyszło, o drugich różne dykteryjki rozpowiadał, śmiejąc się, żartując.

Ale co tylko kieszeni jego dotykać mogło, wyprowadzało go natychmiast z tej błogiej wesołości i rzucało w gniew i niecierpliwość, nie wiem bowiem czy kiedy w kim namiętność gorsza pod słońcem, do wyższego posunęła się stopnia jak u niego. Co dziwniejsza nie rozpowiadał o niczem częściej jak o swojej rozrzutności i wydatkach, wymawiając sobie nieustannie nieopatrzność, zbyt ni szafunek groszem i prorokując utratę ostatka niewielkiego mienia. Pochwalił się przed bratem że przez miłosierdzie dał przytułek żebrakowi, choć wprzód powiedział mu był że mu płaci za dozór domu, stękał że go kosztuje ogromnie życie wystawne, które prowadzi jadając po garkuchniach, ubierając się zawsze czysto i starannie i t. p.

W ostatku prosił, żeby mu się nie dziwowano że zawsze w domu, dla nagniotków obuwia znieść nie mogąc, boso chodzić musi. Anusia za dobre to biorąc, słuchała, dziwiła się i nie szukając w nim wad których dojrzeć nie mogła, przyjęła go jakim był; ujmował ją grzecznością i ochoczą rozmową.

Od niego zaraz nazajutrz dowiedzieli się, że podczaszyc dom kupił i urządził na nowo, że żył bardzo po pańsku i że zapewne nie długo tak szumiąc pociągnąć potrafi.

Przeraziło Anusię to co o nim posłyszała i nie dziwił ją sen który miała, bo w istocie niebezpieczeństwo było widoczne.

Stary który wszystkie plotki po bruku zbierał, nie mając nic do czynienia, często na gawędę do Orlandiego chadzał, i wałęsając się po mieście widział część życia każdego, nie szczędził Ordyńskiemu imion rozrzuтника, hulaki i karciarza.

Sieniński wdychał słuchając, ruszał ramionami i powtarzał po cichu :

— Pójdzie mosanie Głusza! pójdzie Głusza! na damuzelki i asy! a! gdyby nasza stara pani z grobu wstała, drugi by raz umarła z boleści, a wszystko to przez tych urwipołciów francuzów!

— Ale by go może jak ratować można! przemówiła Anusia.

— A to jak? rzekł Jan, albo to do niego przystęp teraz łatwy, gdyby i przystąpić, czy się to da zreflektować?

Anna zamilkła myśląc że Bóg da sposób i nastroczy ratunku zręczność, zapamiętała jego mieszkanie, a w przyszłości obiecywała sobie poznać miasto ze stryjem i choć

z daleka spoglądać na przyjaciela młodości.

Wszystkie jednak marzenia Anny rozbiły się o mnóstwo trudności, których się zrazu ani domyślała. Przekonała się, że po Warszawie z ładną twarzą samą jedną chodząc nie można, że do podczaszyca przystęp niepodobny, że go nawet zobaczyć trudno, bo przez ulicę przelatuje karetą, a w kościele nie bywa. Zbierała więc tylko wiadomości o nim przez stryja i ojca, a w kilka dni po przyjeździe posłała starego ażeby mu się oznajmił z przybyciem, nic o niej jednak nie wspominając. Sieniński przebrawszy się w wielkanocny kontusz, poszedł do swego panicza z rana; długo musiał czekać nim wstał, napokutował się w antykamerze, i ledwie o dziesiątej puszczonej został wraz z czekoladą. Podczaszyć żywo się do niego zerwał, bo mu przypomniał Głuszę, a może — może Anusię.

— Jak się masz stary? krzyknął — co ty tu robisz?

— A cóż JW. panie, znalazło się brata który ma posesyjkę przy Bednarskiej ulicy, to się do niego ściągnęło — bo w Głuszy po odjeździe państwa bardzo pusto.

— A córka?

— Córka? — przełknął stary nie chcąc kłamać i nie mogąc powiedzieć prawdy — zdrowa JW. panie, zdrowa... bardzo dziękuję.

Spojrzał mu w oczy Ordyński i nie śmiał pytać więcej.

— Cóż tu myślisz robić?

— A co? popatrzeć jeszcze na świat Boży póki oczy we łbie — pomodlić się, zresztą odpoczywać.

— Przychodź-że do mnie często mój Sieniński, przykażę żeby cię w każdej godzinie puszczano.

Stary *more antiquo* do stóp się skłonił, przyniesiono mu kielich gdańskiej wódki, piernika, łakoci, choć dla niego godzina już była zrazowa raczej i krupnikowa, bo wstał rano i czuł że *hora canonica* dawno wybiła w żołądku.

Podczaszyc wypytywał go się o wszystkich i wszystko, o dom, ludzi, a ubocznie i o Annę. Staremu nieprzywykłemu kłamać było to nie łatwo, plątał się język bardzo, tak, że podczaszyc nie mogąc dójsć co się stało z Anusia, donyślił się że mu całej prawdy dla czegoś powiedzieć nie chce. Różne myśli przesuwaly mu się po głowie, wąż zazdrości ścisnął serce — kilka dni chodził smętny — dumał, wzdychał, ale piękne oczy wojewodzinej spędziły te chmury z czoła.

Potem Sieniński z rzadka go widywał tylko, a choć pierścionek Anusin jeszcze mu ją przypominał, choć chwilami niepokoił się o nią, nie miał czasu wśród roztargnień tyłu, stalej, dłużej o niej pomysleć.

Anna od przybycia wiodła życie prawie zakonne, z ojcem, stryjem i nie wielu jego znajomymi. Szczęściem w ich liczbie był znakomity swego czasu człowiek, ksiądz Spirydjon kapucyn, który z młodości będąc znajomy z Sienińskimi, czasem ich odwiedzał i chwilę spędzał z nimi.

Człowiek to był ze wszech miar poszanowania i czci godzien, jako kapłan i jako obywatel. Otaczała go wielka powaga, jaśniała do koła niego świętość i najbezbóżniejsi nawet plany na niego upatrzeć nie mogli. Schorzały, kaszlający, sił nie wielkich na pozór, duszą umiał to mizerne i umartwieniami zniszczone ciało podnieść, tak że więcej znosił osłabiony i wątły, niżeli najwytrwalsi jego towarzysze. Oprócz praktyk religijnych spełnia-

nych najściślej, znoszonego głodu, chłodu, dyscyplin, wło-  
siennic, pracy spowiednika i kapelana więzień — jako  
poradnik dusz wielu bolejących, od rana do nocy wzy-  
wany, rozszarpywany, nie miał godziny spokoju. Często  
spoczywającego przed krucyfiksem w celi, doganiali i tu  
najznakomitsi ludzie owego czasu — w których jeszcze  
iskra wiary nie dogasła — by się go poradzić, by siły  
zaczepnąć. Serce i rozum jego, rozpłomieniona i czynna  
wiara podniosła była do tak wysokiego stopnia, do ja-  
kiego ani geniusz, ani wychowanie nie są w stanie  
dźwignąć innych. Prostaczek wedle słów mędrca, wię-  
cej i jaśniej widział od pogańskich filozofów ówczesnego  
świata. Wejrzenie jego głębokie, obejmowało, rzec mo-  
żna, samą treść żywota odrzucając jego łupinę i zdu-  
mionym często oczom pospolitych ludzi okazywało istotę  
samą, gdzie oni wśród zagmatwania, pozorów od rzeczy  
rozdzielić nie mogli.

Spokojnego umysłu, pogodnej twarzy bladej, zawsze  
uśmiechniony jakby w Boga patrzył, bo w dziełach Jego  
widział rękę wszędzie, ojciec Spirydjon nie był jednakże  
bez związku z wiekiem wśród którego żył i urosł. Nie  
pobłażał on mn, ale czuł że potrzeba zbliżyć się do  
chorego by go leczyć. nie unikał więc ludzi, łagodnie  
przystępował do zranionych, nie gromił i nie groził,  
ale pociągał dobrocią i światłem którego mu udzielało  
natchnienie.

Świątobliwego owego człowieka znała naówczas cała  
Warszawa jako opiekuna więźniów, jako dysponującego  
skazanych, protektora ubogich, a massoni, illuminaci i  
filozofowie ówczesni poklaskiwali mu nawet, widząc go  
bez różnicy wspierającego i cieszącego katolików, żydów,  
protestantów, i wszelkich ludzi bez różnicy wiary i stanu.

Był to prawdziwie duchem Chrystusowym ożywiony kapłan, bo serce jego dawno rzuciło na progu celi wszelkie uczucie nienawistne, wszelki wstręt i gniew — zdawał się kochać świat wielką miłością w Bogu, a kochać go tak, że gromić nie umiał, że nie sercem jego inaczej jak litościwie wstrząsnąć nie mogło.

— Mój ojcie — mówił mu jeden dygnitarz koronny i dygnitarz łoży św. Jana, warszawskiego wschodu, żartując trochę — co się to wy szkarad, zbrodni i plugaństwa nasłuchacie spowiadając tylu łotrów!?

— Zapewne — odparł z pokorą kapucyn — ale ja nie samych spowiadam delikwentów, i przyznam się panu dobrodziejowi, że mnie nigdy nie wstrząśnie tyle spowiedź zbrodniarza stojącego pod szubienicą, ile wyznanie szkarad od tych co chodzą wolno! więcej grzechu na ulicy niż za kratą!

Lud kochał księdza Spirydjona, lubili go i poważali panowie, choć jednym i drugim prawdę mówił. Nie mógł przejść kilka kroków, żeby go w ręce nie całowano i nie błogosławiono głośno, a byli tacy co zawczasu świętym go mieniąc, o cudach jego przebąkowali. Podniosło jeszcze popularność jego jedno słowo litości, wyrzeczone w sprawie podskarbiego, z którego później ktos piękny wziął assumpt do gorącego wiersza. Kościoły puste podówczas, na rzadkich jego kazaniach napchane bywały, bo mówił je po staropolsku, wprost od serca, nie bez dowcipu, a tak żywo, tak gorąco, że najobojętniejszymi wstrząsał.

Ksiądz Spirydjon wiek swój pojmował jasno, widział wszystkie jego wady, bolał nad niemi, ale miał nadzieję w miłosierdziu Bożem; gdy inni nad upadkiem wiary

jęczeli, grożąc że po Wolterze nie powstanie chrześcijaństwo — on sobie z uśmiechem mówił:

— Nie bójcie się, zginie to plugastwo, wszystko przejdzie, a prawda świecić musi. Nie bójcie się o wiarę, lękajcie raczej o siebie.

Zresztą, co wiek ów dla ludzkości przynosił prawd nowych, mimo wiedzy jego, z łona wiary na którą bluźnił, dobytých, to nasz kapucyn przyjmował jako dar Boży, umiając rozróżnić w steku myśli niesformie splątanych, złote pasma idące z góry.

Że nie tylko zbrodniarzy nawracał, ale i najzatwardziały grzeszników usiłował opamiętywać — często w tym celu odwiedzał takich którym słowo Boże z ust jego potrzebnem mu się zdawało. Za takiego właśnie w grzechu zakutego miał ks. Spirydjon pana Kaspra, a związany z nim będąc od młodu, próbował do ostatka uleczyć go z namiętności brzydkiej, w której z wiekiem brnął co raz głębiej. Często zaglądał do jego mizernej izdebki, często z nim posiedział, a po bytności jego stary ponuro się i smutnie zamyślał.\*

Zaraz po przyjeździe Anny w dni kilka, zjawił się kapucyn po południu w progu izdebki pana Kaspra, z wesołem:

— Niechże będzie pochwalony...

Obejrzawszy się potem:

— A co tu? u wasci najazd jakiś? goście? czyś kogo przyjął w komorne?

— To brat mój Jan — rzekł Kasper całując księdza w rękę i usiłując zakryć bosc nogi, za które ksiądz Spirydjon nie raz łajał — kochanych, dobrodzieju, mam gości.



— I przyjmujesz ich po swojemu, bosaka! — zaśmiał się kapucyn — oj! niepoprawiona natura!

— To z powodu nagniotków, ojcie dobrodzieju.

— Ba! ba! znamy te nagniotki! każdy ma takie nagniotki panie Kasprze, przeszlą razą mi mówiłeś żeś uczynił votum, a teraz...

Kasper spuścił głowę.

— Wstydź bo się waść — dodał cicho staruszek śmiejąc się ciągle — czyż taki do końca nie wydobędziesz się ze szpon tej brzydkiej pasji?

— Cicho jegomościunin! cicho! — zawołał Kasper przerażony — a nuż moi goście posłyszają, pomyśleć gotowi żem skąpiec a zatem bogaty...

Kapucyn się rozśmiał i usiadł spocząć na zydelku.

— No! to się waści chwali, żeś jak widzę brata przyjął!

— A cóż, musiałem ojcie, i nie inoło mnie to kosztować będzie... zrujnują mnie trochę.

— Cicho, nie mów o koszcie i wydatku. A liczysz waść jak ci serce za to płaci! ha? Wstydź się panie Kasprze! a teraz prowadź mnie do Jana, trochę go znam.

Podniósł się staruszek i wyszedł z Kasprem, który szybko wdział buty, do wielkiej izby zajętej przez Jana i Anusię.

— Niech będzie pochwalony — powtórzył na progu — witam was dzieci moje! Stary przyjaciel Sienińskich; mości marszałku coś widzę poznać mię nie chcesz? A ojciec Spirydjon! widzisz. To musi być córka waszecina! Niechże ją Bóg błogosławi!

Anusia przysłała go pocałować w rękę.

— Dobrzeście zrobili żeście tu przyjechali, ot stary pan Kasper trochę odżyje. A cóż w Warszawie my-



ślicie, bo się tu pewnie próżnowaniem bawić nie będziecie?

Stary wytłómaczył się księdzu, że jemu sił do pracy niestarczyło, a Anusi zajęcie domem, kuchnią i gospodarstwem — wszystek czas zabierze.

— Każdy niech pracuje jak może, aby z Bogiem, wszystko dobrze, wszystko Bóg przyjmie. Bez krzywdy bliźniego, bez uszczerbku na duszy, w imię Pańskie aby dalej, aby bliżej do uroczystej godziny.

Anusia z rozkoszą słuchała starego kapucyna, którego pobożne słowa przypominały jej żywo starość, bo były w tymże duchu, i płynęły z jednego źródła, z serca. Ucieszyła się ujrzawszy starca, bo przeczuwała że los opatrzny go zsyłał w pomoc bezsilnej. On też z zajęciem spojrzał na dziewczkę, w której oczach i na jasnym czole czytał myśli chrześcijańskie i pobożnego ducha.

To spotkanie było dla Anny jakby pierwszym stopniem do dopięcia celu; marzyła już że przez rady ks. Spirydjona, przez tych których on znać musi, trafi jakoś do podczaszycy i tę duszę już nad przepaścią stojącą, na inną zawróci drogę.

W kilka tygodni potem przyszedł znów ks. Spirydjon, a zastawszy śpiącego pana Kaspra, przyszedł do Anusi, na ten raz samej. Skorzystało z tej chwili dziewczę i rzuciło się do nóg starcowi, przeląkł się nieco zrazu kapucyn, myśląc, że straszliwe jakie usłyszy wyznanie, bo i łzy towarzyszyły niewinnej spowiedzi, ale ochłonął powoli, gdy Anna potrzebująca się zwierzyć komuś, wylała przed nim całą swoją duszę, opowiedziała mu życie, dzieciństwo, młodość, wychowanie, opiekę starości, przywiązanie swe do Michała...

Wyznanie było jak spowiedź szczere i całkowite: nie utaiła nic, powiedziała nawet o snach w Głuszy, o myśli co ją tu przywiodła.

Starzec słuchał ją z rozczuleniem rzewnem.

— Dziecko moje — rzekł — obrachuj się czy cię tu krom nadziei ratunku, nie przywiodła, acz niewinna miłość ku niemu?

Anna spuściła oczy.

— Wiem że nie mogę i nie powinnam go kochać, odpowiedziała, ale nie mogąc być niczem dla niego, chcę przynajmniej ratować go w jednej chwili życia. Potem gotowam wstąpić do klasztoru.

Staruszek głową pokiwał.

— Zawsze pocziwe to myśli twoje — rzekł — ale jakąż ja ci dam radę? Słyszałem nieco o Ordyńskim, wpadł w wielki świat i należy do tych do których kapłan nie ma przystępu, bo od niego uciekają.

Proś Boga, modlitwa wiele może, a jeśli się zdarzy sposobność ratować go w jakim złym razie, jam ci gotów w pomoc. Sama nie rzucaj się na niebezpieczeństwo, byś nie upadła... Słabą jesteś. Upaść łatwo, dziecko moje, cóż dopiero w walce, w której ufna i pocziwa niewinność z jednej, a rozwiążność obojętna z drugiej strony.

Pociechą jakąś i ufnością napełniło się serce Anny po zwierzeniu kapucynowi, który ją z uczuciem odchodząc pobłogosławił.

Nazajutrz zaraz trafem zobaczyła podczaszyca w kościele, dokąd przybył w ślad za piękną wojewodzina; skryta za konfesjonał przypatrywała mu się, a srogi ból cisnął serce. W oczach jej tak się odmienił! powiew miasta uniósł z sobą świeży rumieniec, pogodę oka mło-

dego, ust wesele, czoła jasność — piękny był jeszcze, ale w nim czuła Anna jakby rozhukane zwierzę, jakby oszalałego i pijanego... Zmartwiła się widząc go w kościele obojętnym na Boga — śmiał się, chodził, stawał, przypatrywał, siadał, szeptał, był jak na widowisku i ani na chwilę, ni razu, nie podniosła się myśl jego i serce ku temu co świątynię nappełniał, niewidzialny dla niego.

Zapłakała ścigając go oczyma, podającego z uśmiechem rękę pięknej damie, z którą od pół kościoła szeptać poczęli do siebie nadto poufale.

## IX.

Jakie tam myśli snuły się po chorej głowie podczaszyca, w chwili gdy okryty ciemnością wieczora i chmur, oblany deszczem i migoczącymi niekiedy na niebie błyskawicami, stał i czekał z krwią zimną na wydarcie życia człowiekowi? — nie wiem... Są to godziny, w których jak przed śmiercią całe życie zarysowuje się szybko na tle wyobraźni, w których się przeżywa na nowo całą swą minioną przeszłość, uczuwa co kiedyś czuło, przypomina, żałuje... serce bije, myśl się płacze, żal na przemian, bojaźń i znowu szal ogarnia.

Czas znika — wiek i minuta równemi się zdają, bo człowiek żyje w sobie, a świata zewnętrznego, tej skazówki godzin, nie widzi... Jedno uderzenie serca wydaje się wiecznością, drugie błysnięciem tylko, choć oba przeszły równo — ból tylko i uczucie je mierzą.

Nagle — przed oczyma podczaszyca, który stał dy-

sząc nieprzytomny, ukazała się wysoka postać w piaskowym płaszczu... ręka zadrżała.

Błysnęło, poznał Rybińskiego o trzy kroki od siebie, staroście widać postrzegł go także, bo się chciał cofnąć, ale nim miał czas zawrócić, przyskoczył Ordyński, i przyłożywszy mu krucicę do piersi, wystrzelił. Staroście krzyknął, chwycić się chciał za mur rękami, posłonił i upadł.

W tej chwili jakby zasłona jakaś spadła z oczów podczaszyca — ostygł, ujrzał przed sobą trupa, ciekącą krew, załamał ręce i stanął skostniały. A tuż i lud gromadzić się poczynął i wrzawa powstawała do koła. Ordyński nie miał siły nawet uciekać. Uczuł tylko że go ktoś chwycił za rękę i żwawo cisnąc przez lud z nim uchodził, ale dokąd? kto? nie postrzegł.

W duszy wiło się, powtarzało, tętniło jedno tylko słowo:

— Zabiłem! zabiłem!

Śmiech nareszcie straszny, przez tę wrzawę myśli dobił się do jego uszu.

— Podczaszycu — rzekł przewodnik — dokąd się teraz udać myślisz? — Zabiłeś Rybińskiego, potrzeba uciekać — mów co mam z tobą zrobić?

Ordyński stał jak słup.

— A! co to za dziecko — zawołał cavaliere — poprowadzę cię do Frascatelli, może tam odzyskasz przytomność i pomyślisz co zrobić z sobą.

Przejeżdżający fiaker zabrał ich obu, a ruch powozu dopiero i ulewny deszcz ćwiczący w twarz, bijące pioruny, burza gwałtowna, trochę oprzytomniły podczaszyca. Zakrył oczy, począł płakać, Fotofero ramionami ruszał.

Zajechali na Miodową, w dziedziniec, usługny przyjaciel wysadził Ordyńskiego, wwiódł na wschody, otworzył drzwi, wepchnął do mieszkania a sam zniknął.

Służąca postrzegłszy podczaszyca zbroczonego krwią, która na suknie jego wytrysła, krzyknęła, sądząc z niej i z bledości twarzy że był raniony. Na głos ten z drugiego pokoju wybiegła przerażona tancerka, spojrzała, domyśliła się wszystkiego i przybliżyła niespokojna. On ją z lekka odepchnął.

— Nie tykaj mnie, krew — krew, jestem zbójcą...

Nieprzytomnego prawie kobiety posadziły w krzesło, spojrział po sobie, zobaczył plamy czerwone — i omdlał.

Włoszka pocziwa zapominając o sobie i swej słabości, poczęła go ratować, ukłękła cucić, a sługę posłała po doktora Beklera. Napisała także kartkę do generała, wzywając go pilno do siebie i z nią na zamek chłopaciś kazała. Na klęczkach tak przed nim patrzyła nań, drżąc z bóleści, nie mogąc doczekać się otrzeźwienia, bo choć oczy otworzył, zdawał się nieprzytomny — odpychał od siebie, miotał się, a słowa z ust wyrывały się bezładne.

Po godzinie blisko takiej męczarni, zaturkotało w dziedzińcu, generał wpadł do pokoju i rzuciwszy okiem na podczaszyca, za głowę się schwytał.

— Gdzieś go złapał? — zawołał.

Widok Bauchera zdawał się zabójcę ochładzać, spojrział mu w oczy.

— Na ulicy — odpowiedział z cicha.

— Strzelełeś?

— Zabiłem go.

Stary pieczeniarsz zmarszczył się gniewnie, niecierpliwie i ramionami ruszył.

— Ratuj-że się teraz sam, kiedyś dobrej rady nie słuchał — rzekł zimno — wiesz czem to pachnie, zabicie posła pod bokiem króla i sejmu, pod juryzdykcją marszałkowską?

— Na Boga — przerwała Włoszka gwałtownie — tu nie czas grozić i wymówki robić, potrzeba go ratować.

— A co ja mu poradzę? — zawołał generał przechadzając się zakłopotany — umyвам ręce! umyвам ręce! jutro by mnie jeszcze do indagacji pociągnęli. Upadam do nóg... Jedna jest rada a krótka, wziąć pieniędzy jak najwięcej i nie powracać do domu, póki sprawa się nie rozgłosi, uciekać jak najdalej. Rybiński krewny blizki biskupa kujawskiego, człowieka możnego, który poruszy wszystkich, a krwi swej nie daruje... Niema co myśleć, potrzeba uciekać.

— Ale ja nie mam ani passu, ani pieniędzy.

— Ja ci też ani jednego ani drugiego dać się nie ofiaruję — odpowiedział generał biorąc się do drzwi. sam będę na oku, a grosza, słowo honoru — grosza przy duszy nie mam. Rób co chcesz a uciekaj.

Frascatella gniewnie ruszyła ramionami.

— Otóż to przyjaciel — zawołała — to przyjaciel. — Jeśli innych nad tego nie miałeś podczaszycu, toś biedny, bardzo biedny!

Ordyński siedział w krześle zadumany głęboko, gdy mu jak błyskawicą mignęła myśl, że Sienińscy mają dworek na Bednarskiej ulicy, i że oni by go może poratowali, gdyby się do nich dostać można. Nie chciało mu się uciekać z Warszawy, żelazny łańcuch nałogu przykuwał go do miasta, czuł że gdzieindziej żyć by nie potrafił.

Ochłonawszy nieco poczynął roić, że sprawa ta da się zatrzeć, byle zwlec stawienie się przed sądem i nie dać pochwycić. Zdawało mu się, że go nawet w Warszawie szukać nie powinni, bo pomyślał iż musiał uciec już dalej.

Pożałował nawet, że starego swego sługi Sienińskiego nie odwiedził kiedy, teraz by mu się wiadomość o mieszkaniu ich przydać mogła. A że posyłać i dowiadywać się niebezpiecznem było, musiał nie spuszczać się na nikogo, sam iść i szukać dworku.

Wstał więc po chwili z krzesła, narzucił płaszcz i chciał odchodzić, gdy Frascatella przybiegła z drugiego pokoiku niosąc w chustce co mogła znaleźć, ostatki ubożego mienia, klejnociki i trochę grosza, (w myśli przeznaczzone już na pogrzeb) — które chętnie oddawała podczaszycowi!

— Weź pan to — rzekła czepiając się go uparcie, na pamięć matki klnę ci się panie, że więcej nie mam, a to mi zupełnie niepotrzebne.

— Dziękuję ci, dziękuję — odpowiedział Ordyński z trochę dumy — bądź spokojna, mam pieniądze.

— Dokąd myślisz?

— Szukać przyjaciela! — smutnie odpowiedział podczaszyc.

Zadrżała Włoszka i przeżegnała go — chciała zatrzymać i ukryć, ale podczaszyc sam przypomniał jej że tu go szukać mogli najłatwiej, wiedząc że był u niej. Wybiegł żywo ledwie skinąwszy głową rozpłakanej dziewczynie.

Pierwszy to raz od przybycia swego do miasta puszczał się tak sam jeden nocą w ulice, bez ludzi, bez powozu, zmuszony kierować się i radzić sobie, postrzegł

się że prawie nie znał miasta, że niemal chodzić nie umiał, że i suknia jego i nogi do salonu tylko stworzone były. Ale konieczność popędziła — i szedł nie wiedząc dobrze dokąd idzie.

Deszcz lał jak z wiadra, potoki toczyły się rynsztokami, z rynien spadały kaskady, a pioruny warczały jeszcze w oddaleniu.

Podczaszyc po wielu obłędach, przesuwając się pod ścianami, co chwila podejrzewając że go ścigają, na każdy krzyk drżąc i przytulając się do muru, dostał się wreszcie na ulicę Bednarską, ale jak tu wynaleźć dworek Sienińskich? Zdawało mu się że lada słowo wydać go może, że poznają go po głosie i mowie, z postawy i sukni, nie śmiał nikogo spytać, najciemniejszymi przebieając się zakątkami. Wreszcie ulewa ciągła, ciemniejsza coraz noc, jakiś strach pozostania pod gołym niebem wśród snującego się ludu, zmuszając go szukać schronienia, wyrobiły w nim trochę odwagi — musiał się pytać kilku przechodniów, zbyli go niczem nie wiedząc o żadnym Sienińskich dworku; udał się do miejscowych i chodząc od wrót do wrót, doczekał nareszcie że mu wskazano niski domek, w którego jednym okienku go-rzało blade światło. Tu do wrót trudno się znów było dostać, tak zawczasu zatarasował je pan Kasper z pomocnikiem swoim Hołodrygą, a że po nocy nie było praktyki by kto przyszedł, nie rychło usłyszał głosy dopytujące się czego chce.

Sam przeciw niemu wyleciał stary, niespokojny kogo tam licho niesło... i zdziwił się dowiedziawszy, że potrzebuje ktoś widzieć się pilno z panem Janem.

— Ale po co i czegoż po nocy, to i jutro przyjść można?



— Sprawa pilna, proszę otwierać, — proszę otwierać.

Jeszcze się wahał gospodarz obawiając złodziejów, aż podczaszyc zawołał mu przezedrzwi, że tu o życie ludzkie idzie i żartować nie można.

Kasper zatrwożył się mocno, a że o życie szło nie o pieniądze, odważył się odryglować i wpuścił przybyłego, który zataczając się ze znużenia i niewprawy do piechoty, wpadł do dworku jak szalony. Za nim w ślad leciał pan Kasper.

W większej izbie na krzeselku drzemał pan Jan, a Anusia spokojnie modliła się na książce którą miała po starościnej. gdy drzwi się otworzyły i blady, krwią zbryzgany, w wykwintnym stroju, ukazał się na progu jak zjawisko podczaszyc.

Nie wiedząc o jej bytności w Warszawie, ujrawszy ją nagle, cofnął się, ona krzyknęła, tak niespodzianie go ujrawszy w tej porze. Sieniński przebudziwszy się oczy przecierał, nie mogąc zrazu zrozumieć gdzie jest i co się dzieje.

Anna jednak najprędzej odzyskała przytomność, i ze świecą podskoczyła przeciw niemu.

— Panie Michale! co to panu? zawołała.

— Co mi? rzekł opierając się o ścianę podczaszyc — który nóg nie czuł pod sobą i był jak w gorączce — co mi? Zabiłem człowieka! muszę się kryć! ratujcie mnie!

Sieniński ręce załamał, Kasper pobladł, Anna ujrawszy krew, cofnęła się przerażona.

— Zabójca, zabójca — on zabójca! możeż to być o Boże!

— Ale kogoż zabiłeś pan? co się stało? zapytał ciągnąc go za suknie gospodarz.

— Posła Rybińskiego.

— Gdzie? w Jeziornej, w pojedynku?

— Nie — tu na ulicy.

Bracia spojrzeli na siebie z przestachem, a pan Kasper odstąpił krok od przybyłego.

— Jak się to stało? jak się to stać mogło? spytał łamiąc ręce stary Sieniński.

— Obraził mnie śmiertelnie, strzelać się nie chciałem, musiałem krwią zmyć obelgę — nie mam się gdzie skryć, jeśli wy mnie nie przytulicie, schwycą mnie na gorącym razie, sąd będzie ciężki — na Boga skryjcie mnie.

— To gospodarz domu — rzekł pan Jan, aleśmy wszyscy służyli waszej rodziny i dla niej poświęcić się gotowi, niema co myśleć, znajdziesz pan przytułek u nas, ale czy będzie bezpieczny?

— Ubodźmyśmy ludzie, dodał Kasper. dachu nie poskapiu, a zresztą spuszcza się na wspaniałomyślność pańską! I schylił się do kolan podcaszycy.

— Dziękuję wam — a! dajcie mnie odetchnąć! biegłem pieszo! czuję się słabym!

Anna przyniosła mu krzesło, znużony padł na nie płaszczyk spuszczaając z ramion, głowa schyliła się mu na piersi, i pozostał tak. bez ruchu, bez słowa, głazem.

Dopiero w kilka godzin odzyskał krew zimniejszą, opamiętał się, rozmyślił i przywołał starego Jana Sienińskiego żeby go wysłać na zwiady, a razem po pieńiędzy i klejnoty które w domu zostawił.

— Bądź jednak baczny, dodał — żadnemu z ludzi nie mów gdzieś mnie widział, o zdrajców nie trudno. W karteczce którą daję do Frejera, piszę, że jestem na gościńcu i pojedę dalej jak tylko powrócisz. Być może

że w ślad za tobą pójdą, nie wracaj więc wprost do dworku, ale złóż co odbierzesz na Miodowej ulicy.

Dał mu adres do Frascatelli.

Pan Jan mimo spóźnionej pory, wywoławszy Hołodrygę, który kłął drzwi otwierając znowu, poszedł zaraz. — Kasper zasunął się do swej izdebki, rozmyślając czy mu ta awantura nie mogłaby przynieść jakiej korzyści, Anna została z nim sam na sam.

Ale on tak był w początku zajęty sobą i swem położeniem, że na nią i razu oczu nie zwrócił. Ona tymczasem w milczeniu smutnem przypatrywała się towarzyszowi lat dziecinnych, dziś tak dziwnie zmienionemu w krewią oblanego zabójcę. Strój wytworny który go okrywał, splamiony śladami morderstwa, był symbolem stanu jego duszy. Twarz nosiła ślady burzących namiętności, które nim wstrzęsły i przeistoczyły młodzieńca w zużytego prawie starca — ani śladu nie było już wesołości, uśmiechu, pogody dawnej, a dziś snuła się jeszcze zgryzota i strach po ścieżkach wydeptanych szaleń i rozpustą.

— A! nie tak! nie tak! spodziewałam się go ujrzeć znowu, mówiła w duchu Anusia — o mój Boże! jeśli tam z góry pada nań wejrzenie starościnej, jak-że ona cierpieć musi. Zapomniał wszystkiego, ledwie spojrzał na mnie, ledwie się zdziwił gdy mnie zobaczył! Biedny Michał!

Podczaszyc podniósł po chwili oczy ku niej, spojrzał zadumany i twarz jej przypomniła mu chwile, po których żal odzywał się stokroć, a teraz silniej niż kiedy zabiło serce i tęsknem rozkołysało się uczuciem.

Pierwszy raz może silniej pożałował tego co utracił — niewinności duszy, czystej, pierwszej swej miłości

i chwil w zaciszu wiejskiem spędzonych, gdy jeszcze umiał modlić się, wierzyć, spodziewać. Dziś używając tylko zużył się, czuł próżnię w sobie, a z tego żywota gwarnego, rokosznego, nic mu nie pozostawało nad kilka gorzkich, zatrutych wspomnień. Ani jednego przyjaciela, ni jednego serca! Wszystkie dłonie cofnęły się, wszystkie drzwi zamknęły. Żywiej przypomniało się życie w Głuszy, głos starej babki zdawał go się napominać i wyrzucać mu, że o Bogu zapomniał, że zapomniał o jej duszy... Uczuł w tej chwili że na piersiach jego wisiał razem z krzyżykiem babki, skromny ubogi pierścionek Anusi, który trafem jakimś tak długo z nim pozostał; zdawało mu się, że się przebudza z długiego snu przykrego.

— A! rzekł wreszcie — jakże wam dziękuję żeście mnie nie odepchnęli.

— Mógłśes pan to pomyśleć i wątpić o nas? z trochę wymówki spytała Anna.

— Ja? wątpię teraz o wszystkieni i o wszystkich...

— O kim pan chcesz, ale nie o nas, ale nie o mnie! dodała ciszej.

— Ale zkądes ty tu się wzięła Anno? — zapytał namysławając się — zdaje mi się, że ojciec dawał mi do zrozumienia że cię na wsi zostawił.

— Nie było potrzeby mówić panu o mnie! — odpowiedziała Anusia z westchnieniem — co ja mogłam pana obchodzić? Miałes pan tu tyle nowych i milszych ci znajomych!

Michał gorzko się uśmiechnął.

— Gardzę niemi wszystkieni — rzekł — milsze mi dziś spojrzenie na pogodne czoło twoje Anusiu, niż wszystkich tych zalotnic uśmiechy!

O! ty nie znasz tego świata złożonego z atlasów i podłóści! I dobrze ci z tem... I wojewodzina! — dodał bijąc się w czoło — i ona!!

— Kto ona? — spytała Anna niespokojnie.

— Nikt! nikt! nie pytaj! nie chcę uszu twoich walać opowiadaniem — muszę zapomnieć ich wszystkich, powrócę do Głuszy, żyć będę sam, nie cierpię tego świata!

— Taka zmiana od ranka? — cicho szepnęła dziewczyna — ja jej nie wierzę panie Michale, gniew mściwy mówi przez ciebie; byle by ci się uśmiechnęli, powrócisz do nich.

— Nigdy!

Wtem zapukano do bramy.

— To musi być mój ojciec — zawołała Anna — potrzeba mu biedz otworzyć.

Hołodryga też śpiący tylko jednym okiem, wypadł z budy, klnąc niezrozumiale, nie mogąc pojąć co się dziś w spokojnym domku stało, i pytając — kto tam? kto tam?

— Wywołajcie mi do wrót tego pana, który tu nie dawno przyszedł! — odezwał się głos jakiś.

Ale Hołodryga łajał i kłął nie myśląc słuchać, gdy Anna przypadła do furtki.

— Niema tu żadnego pana — odpowiedziała poznając po głosie obcego — dajcie nam pokój!

— Czyj to dworek, Sienińskich, a więc musi być u was Ordyński.

— Nie wiemy o żadnym, obcych tu nie ma, idźcie z Bogiem, snu nam nie przerywając.

— Proszę mi podczaszyca wywołać — powtórzył głos — to nie są żarty, ja się z nim widzieć muszę, powiedźcie

mu, że przyszedł do niego ten, który go prowadził na Nowolipie...

Chociaż głos nieznanego bardzo przykro brzmiał w uszach Anny, poszła jednak z poselstwem do podczaszycy, który domyśliwszy się cavaliera, pobiegł do wrót.

W istocie był to Fotofero, który otworzoną wcisnąwszy się furtką, stanął przed nim z dość pochmurną twarzą.

— Jakżeś się dowiedział że tu jestem? — zapytał Ordyński.

— Jak? ja wiem wszystko — odpowiedział zimno przyjaciel — i źle że pan tu jesteś! — rzekł prawie z gniewem.

— Dla czego?

— To nic nie warte schronienie, ulica zbyt bliska miasta, ktokolwiek w oknie cię zobaczyć może, dowiedzą się, wyspiegują. Nie chcę żebyś tu pozostał.

— Dla czegoż? — odparł podczaszyc trochę urażony tonem rozkazującym — to ostatni mój przytułek, innego nie mam i mieć nie mogę.

— Ja jutro, nie dalej, wynajdę panu ustronne, pewne i wygodniejsze mieszkanie. — Tu źle, źle, różni bywają! tu pan pozostać nie możesz!

Mówiąc to, stukał nogą i laseczką cavaliere z widocznym nieukontentowaniem, podczaszyc się wahał i rozmyślał.

— O tem potem — rzekł — co się dzieje w mieście?

— Nic nie wiem! nie byłem nigdzie, idę szukać mieszkania, bo nie pozwolę byś pan tu miał zostać.

— Ale dla czegoż? — zniecierpliwiony odezwał się Ordyński — ja się tu czuję bezpiecznym.

— Mam moje przyczyny, z których tłómaczyć się nie mogę.

— A ja przyczyny dla których chcę pozostać.

— Może Anusię! — rzekł szydersko Fotofero.

— Bez żartów! — z gniewem odpowiedział podczaszyc — bez żartów, proszę tem imieniem, które nie wiem jak się do pańskich ust dostało, nie szastać.

Cavaliere zdjął kapelusz z udanem uszanowaniem, i odpowiedział:

— *Honneur aux dames!* a zatem spytał po przestanku — mam szukać mu mieszkania, wynosisz się pan czy nie?

— Nie widzę potrzeby, tymczasem wszystko co zwraca oczy na ten dworek i pańska tu bytność, naraża mnie. Dobra noc, rozejdźmy się.

— Do jutra — rzekł kwaśno Fotofero — ale potrzeba się wynieść! Musisz pan wynosić się ztąd! — To mówiąc, wybiegł zatraskując furtę za sobą, z ogromnym łośkotem zapadającą za nim, jakby nią olbrzymia ciśnieła ręka.

Hołodryga na ten stukot wyleciał z gniewem, krzykiem i kijem, ale już nikogo nie znalazł i palnął ze złości we drzwi zamknięte.

Podczaszyc wielkimi krokami przechadzał się po izbie poglądając na Anusię.

— Bywa u was kto? — zapytał.

— U nas tak jak nikt.

— Ale przecież macie znajomych?

— Kilku mieszczan i kupców do pana Kaspra przychodzą.

A z kobiet?

— Nikogo.

— Będę tu bezpiecznym ?

— Nie wiem gdzie lepiej ukryć by się można — żywo zawołała Anusia — jest pokoik na boku, a o zamieszkującym go żywa dusza prócz nas wiedzieć nie będzie. Wprawdzie nie tak tu wygodnie jak w Głuszy — i smutno ! trochę czuć więzienie, a wzrok kraty rozcinają, ale cicho i bezpiecznie.

Znowu zastukano do drzwi, a w chwilę potem wszedł smutny i zamyślony stary Sieniński. Z twarzy już jego widać było że złe przynosił wiadomości, otarł pot z czoła zmarszczonego.

— Co mi przynosisz ? — zapytał podczaszyc — na-dewszystko proszę nic nie ukrywaj przedemną. Co mówią ? czy Rybiński żyje ?

— Żył jeszcze przed chwilą, ale doktorowie mu żadnej ocalenia nie robili nadziei.

— Czy szukają mnie już w mieście ?

— Dom był ostawiony ludźmi marszałkowskimi, trzęsiono go już. Straż była także w kilku innych domach i u Miodowej u tej... — dodał starzec krztusząc się — u tej... jejmościanki.

Anusia spojrzała na ojca i zbladła.

— A w mieście ? co mówią w mieście ?

— Mówią powszechnie żeś pan ujechał, ale kazano ścigać, Rybińscy naznaczyli podobno za schwytanie jakąś nagrodę — król już o wszystkim wie, biskup z płaczem zaraz do niego poleciał, domagając się surowego ukarania. Obiecano mu że morderca oddany będzie w ręce sprawiedliwości...

— Nikt cię o mnie nie pytał ? a w domu ? co się dzieje w domu ?

— W domu ! — ruszając ramionami rzekł stary —



sądny dzień, Frejer klnie i głowę traci, wierzyciele oblegają, słudzy się porozbiegali, każdy coś pochwyciwszy, ledwie resztki ocalałem z komody do której mi pan klucz dałeś, i tego mało mi z rąk nie wydarto.

— Jenerał Baucher tam nie był?

— Nikogo prócz kupców.

— Byłeś na Miodowej?

— A! na Miodowej — byłem, tam zostawiłem wedle rozkazu co się uratować dało... ale to trzeba będzie rychło zabrać ztamtąd, bo ta panienka tylko co nie wiadać jak umrze. Doktorowie tam koło niej tańczą, i księdza już wołano.

Podczaszyc westchnął, Anna zabołała nad tą nieznaną umierającą.

— Albo jej nigdy nie kochał — rzekła w duchu — lub nigdy serca nie miał, ona teraz kona, a on tu się kryje. O! to by było niegodnie! Wolę myśleć, że jej nie kochał, bo bym się nim brzydzić musiała, ale jakież to były ich stosunki?

Na tym skończyła się rozmowa ze starym Sienińskim, a że późno już było w noc, a wszyscy czuli potrzebę spoczynku, Anna wzięła się rozporządzać, sama z ojcem przenosząc się do alkierzyka, a podczaszycowi po rozmyśle zostawując równie bezpieczną i wygodniejszą wielką izbę.

Podczaszyc ujrzał się w kilka minut sam jeden w posępnym mieszkaniu, za kratą, u mizernego łóża, przy nagiej ścianie; zamiast obrazów rozkoszy i sprzętów zbytkowych, czarny tylko krucyfiks mając przed sobą... Na stoliku dogorywało światło, w izbie dusiło go powietrze ciężkie, a po głowie cięższe jeszcze snuły się

myśli... na sukni, w oczach, miał ciągle przyschłą krew, krew człowieka!

Oka też nie zmrużywszy Ordyński rzucił się w krzesło, i tak w dumach i żalach całą noc przepokutował, to chodząc, to bezsilny spoczywając.

Blady brzask dnia wschodzącego, który powitały dzwony, przekradł się nareszcie przez kraty, dźwięk ten zdawał mu się już pogrzebowym biciem na zgon Rybińskiego.

## X.

Następnego dnia, Jan Sieniński wyszedł zawczasu na zwiaady, bo niespokojny podczaszyc prosił go na wszystko by mu pewniejszą dał wiadomość o Rybińskim.

Starzec znalazł już po rogach ulic poprzyklepane paszkwile nocne, w których zbryzgane krwią i błotem, wałało się pocziwe imie Ordyńskich. Ze zgrozą, ze smutkiem zdarł z nich parę i westchnął płaczliwie nad losem co podawał w pośmiewisko ostatniego potomka rodu zasłużonego i czystego dotąd... Ale z wierszy tych dowiedział się także Sieniński że Rybiński żyć jeszcze musiał, śmiertelnie tylko będąc postrzelony. Między mieszczanami i przekupniami chodziły dziwne i jak zwykle przesadzone wieści, z których nic złożyć nie było podobna. Stary wedle zlecenia podczaszycą, poszedł pod Krakowską bramę do Orlandiniego z pełną tabakierą umyślnie kupionej na to rapy, aby się od niego coś pewniejszego dopytać.

Żebrek już był na swoim stanowisku, wypił świeżo kawę, ręce na żołądku skrzyżował i w błogosławionym

spoczynku z góry poglądał na mijające go mrowie ludu. Wygodnie ułożywszy nogi na słomiance, parasol przygotowawszy z boku na przypadek deszczu, siedział sobie Orlandini jak pan ulicy, wygrzewając się na wiosennym słończku.

Pan Jan wiedział już z kim miał do czynienia, znał że cudzoziemiec choć próżniak i żebraczysko a dumny, schylił przed nim czapki i wszedł w rozmowę rapą.

Orlandini pogardliwie rękę wyciągnął i raczył zażyć.

— Dobra tabaka! — rzekł — a dajcie no jeszcze raz!

— Proszę, proszę — odpowiedział Sieniński.

— Piękny dzionek!

— Ślicznie po wczorajszej burzy.

— Spodziewam się, że król powinienby wyjechać do miasta, nieźle by było, rzadko teraz się ruszy, z powodu sejmu... a jeszcze no tej rapy.

Sieniński stał z tabakierką otwartą.

— Słyszał pan co o zabójstwie posła Rybińskiego? — spytał nieznacznie.

— Nie zabity! nie zabity! — rzekł Orlandini z pewnością — widziałem się wczoraj z dworzaninem księdza biskupa kujawskiego, ranny ciężko w piersi z lewej strony, ale mówią że wyżyć może. Zabójcy słyszę surowo poszukiwać nakazano, ale myślę, że do tej pory uciec musiał... Ale ba! nie chciałbym mieć jego głowy na karku!

— To paniątko! znajdzie się kto co się za nim ujmie i nic mu się nie stanie.

— Wszelako, wszelako — rzekł Orlandini, zażywając ciągle — choć mówią, że i król go protegował, bo się podobno dawniej w matce jego kochał, zbyt ni szał mło-

dzieży chcē poskromić i dać przykład. Pod bokiem sejm — a to poseł!

— Nie znaliście podczaszyca? — spytał Sieniński.

— I owszem! chłopiec się był utresował u nas, niczego! Słyszę, kobiety za nim szalały, ale pod koniec źle o nim mówiono, szulerował, brzydka rzecz...

Pan Jan aż zbladł, tabakierka zatrzęsła mu się w rękę, Orlandini popatrzał mu w oczy.

— A co waści? — spytał.

— To tak, drżączka.

— Szkoda by rozsypać tabaki... dajcie no mi jej trochę do mojej tabakierki, wcale dobra!

— Chętnie, chętnie, ale byka za indyka, gdybyście też mi zrobili jedną łaskę, która was nic kosztować nie będzie?

— O ho! a co to waści potrzeba? — dumnie zagadł Orlandini — widzę, że nie bez interesu przyszła ta rapa do mnie.

— To bagatel.

— Chcesz mnie widzę przekupić! no! no! gadaj.

— Będziecie dziś pewnie widzieli jenerała Bauchera, gdybyście oddali mu ten bilecik.

Orlandini pocmokał, popatrzał....

— Jaki waszeć mądry! — rzekł — za rapę! A ba! oddają się to bileciki, ale nie za niuch tabaki. Ja muszę żyć, i dobrze zjeść i dobrze się napić, mnie życie kosztuje, a kto się mną posługuje, niechże karmi!

— Cóż by to kosztowało? — spytał się pan Jan biorąc się do sakwy.

— Co? to jak od kogo, — rzekł żebrak. — A od kogo list? mów waść!

— Od jednego z przyjaciół jenerała.

— Ba! ba! z przyjaciół! ma on i przyjaciółki! Daj waćpan tę rapę do tabakierki, to od podczaszyca pewno! Dodasz jeszcze talara; wiem, że dukat by się należał, ale teraz musi być goły.

Sieniński westchnął, wyszukał najgładszego talarka i wcisnął go z biletem w rękę żebraka. Orlandini obojętnie wziął pieniądz, w szeroką kieszeń zielonej zbrukananej kamizoli wrzucił, bilecik w drugą, wysypał rapę do dna, założył znów ręce na brzuchu i kiwnął głową Sienińskiemu, jakby mu mówił:

— Bywajże asan zdrów, więcej już rozmawiać nie myślę.

Sieniński pociągnął potem na Miodową do Frascatelli, u której wczoraj zostawił pieniądze i klejnoty pod czaszyca. Zastał tu od wczora siedzącego doktora Beklera, a chorą ledwie z życia ostatkiem.

Przededrzwi słyhać było wśród ciszy ciężki oddech jej piersi i głos słaby, którym żegnała przytomnych.

Nie wiele ich tam było teraz: pocziwy lekarz, dwie kobiety, służąca, nikogo z dawnych czcicieli. Ujrawszy starego, Włoszka podniosła się jeszcze, oddała mu klucz wskazując szufladę kantorka, i szepnęła rozczulona.

— Pożegnaj pan go odemnie, wątpię żebyśmy się już zobaczyli na tym świecie. — Łzy potoczyły się jej z oczu a doktor milczenie nakazał.

— Do czego to? — spytała nieposłuszna — czyż i tak umrzeć nie trzeba... ja to czuję, że nie wyżyję. Napróżno doktorze trzęsiesz głową... Matka tam na mnie czeka, a was i świata nie żałuję! tak mi tu było ciężko w wieńcach róż na skroni i w czczych oklaskach jak w kajdanach, jak w przekleństwie. Może choć z góry zobaczę jasne niebo Italji i sine morze nasze i rozkwitłe

pomarańcze i laury, a dojdzie mnie śpiew rybaczy z nad wybrzeży...

Zamknęła oczy, zdawała się marzyć, tak, że stary Sieniński, który długo mimowoli wpatrywał się w śliczną jej, jak marmur bladą twarzyczkę, niepostrzeżony na palcach się wymknął ze zwilżoną powieką.

— A! mój Boże! mój Boże! — rzekł do siebie wyrwając się na miasto — jakie to ich tutejsze życie! Człowiek głowę traci! wrzawa, pisk, jęk, ten umiera, ten się kocha, ów szaleje i zabija. Ani chwili spoczynku, żebyś jak chciał się zdrzemnąć! Sfikсовать tu trzeba! nie lepiej żeby na wsi siedzieć i po prostu Pana Boga chwalić?

Powolnym krokiem posuwał się dalej pan Jan dla sprawdzenia wieści o Rybińskim, ku ulicy na której było jego mieszkanie: zdawało się łatwo dom rozpoznać, bo przed nim stało karet kilka i ludzi dosyć. Powoli idąc zaczepił to tego to owego, udając prostego ciekawca, choć dosyć niezręcznie, bo co chwila wzdychał. Nareszcie dwie żywo ugadujące się kumoszki we wrotach kamienicy, wprost na przeciw domu Rybińskich, uczyniły mu nadzieję, że się czegoś dowie.

Zdawało się słyhać że było mielące szybko językami, zastanowił się przy nich z ukłonem — dzień dobry.

Spójrzały nań z ukosa.

— A co słyhać? — spytał — czy taki umarł?

— Ale nie! — odpowiedziała jedna.

— Nie, nie — dodała druga, prześcigając się w opowiadaniu — doktory tylko słyszę rozcieli mu het piersi, kulę wyjęli, a że była w samym sercu, potrzeba było i serce naszywać czerwonym jedwabiem.

— I cóż będzie żył? — spytał pan Jan.

— Słyszę będzie, ale serca to nie wiele mu się zostanie, ono kawaleczek.

— Osobliwość — dodała druga — a to dawniej powszechnie gadali, że byle człowieka choćby szpilką zakłuć w serce, musi skończyć, a tu teraz tacy doktorowie że i do serca się dobiorą, i zaszyją. i nic.

— To przez to — zaczęła pierwsza po cichu — że choć synowiec czy coś biskupa, ale taki był słyszę farmazon, a farmazon choć siecz, choć pał, nic mu nie będzie... Był taki farmazon, i widzieli nawet że chodził do ich tego Łoża... Gdyby tak pocziwemu katolikowi, nie daliby rady, ale oni mają swoje sposoby!

Druga tylko ruszyła ramionami.

— A wszystko to poszło przez miłość — dodała — oba się w jednej pokochali; z tym co do niego strzelił, w jakiejś farmazonce, a ta słyszę obu durzyła, aż z wielkiej zazdrości tamten mu śmierć chciał zrobić. Co to słyszę była za kula!

— Mówią — przerwała pierwsza znowu — że się to pokłóciło przy kartach.

— Tak, ale bez miłość poszło — kończyła druga — najpewniejsza rzecz... nawet słyszę ta farmazonka z desperacji po Rybińskim mało nie szaleje, choć ma męża, ale to u tych pań mąż to jak trynózek, na to jest, żeby na nim postawić kochanka.

Dłużej już nie mając się tu czego zabawiać i będąc pewien, że Rybiński żyje, pan Jan ruszył na powrót ku dworkowi.

## XI.

Późną nocą generał Baucher, któremu się mimo bi-  
leciku naglącego podczaszyca, bardzo nie chciało widzieć  
z tak podejrzanym, a do tego gołym w tej chwili jego-  
mością, uznał jednak koniecznem odbyć tę pańszczyznę  
i znalazłszy Kaspra Sienińskiego u Krakowskiej bramy,  
czekającego, by mu wskazać dworek, poszedł z nim pieszo.

Wielki to był ze strony jego dowód przyjaźni, i  
stary pieczeniarnik głęboko rozmyślał nad tem w jak dzi-  
wnych okolicznościach stawiał go los pierwszy raz w ży-  
ciu, zmuszając do odwiedzania dwóch ludzi zgubionych,  
księcia podskarbiego i podczaszyca.

Do tamtego dawne obowiązki przyjaźni, a czasem  
i król tajemnie posyłał, tu trzeba się było choć raz  
pokazać, żeby nie mieć sobie do wyrzucenia zbytku  
obojętności.

— Każda rzecz jednak — mówił do siebie idąc —  
ma swoją złą stronę! ktoby się domyślał że ten pod-  
czaszyca, co tak się zdawał łagodny jak baranek, za te  
wieczorki i obiady w takie mnie teraz wpędzi tara-  
paty. — Głupie życie! głupie życie! Ale bo i nadto  
doprawdy się poświęcam! Taki byłem całe życie wy-  
lany dla drugich! — I westchnął Baucher litując się  
nad sobą.

Jakkolwiek spodziewany, generał zszedł podczaszyca  
z Anusią, i zobaczył ją nim potrafiła umknąć.

— Patrzajcie — rzekł w duchu — ślicznie pokutuje,  
szczer w serze! zazdrośnik, nigdy mi ani wspomniał o



tym buziaczku, a to być musi dawna jego sekretna faworytka! jaki filut!

Z miną politowania pełną, ale dosyć kwaśną, jenerał przystąpił do dawnego swego pupila.

— Na Boga, co słyhać? co król mówi? — zapytał na wstępie podczaszyc.

— Król? — rzekł jenerał wolno — musisz już wiedzieć, że ksiądz biskup chciałby waszmości ćwiertować gdyby mógł, i gotów dowodzić że to gorzej niż zabójstwo, świętokradztwo tknąć księżego synowca. Chodził do króla z lamentem, król się gniewał, ale ktoś nie zna złotego serca? Mówił mi wieczorem wyraźnie, żebyś się skrył, a co lepiej uciekł, bo z sądami marszałkowskimi nie żarty.

— A w mieście?

— Szczerze ci powiem, interpretacje są różne i nieciekawe. Ten Cerulli ucieczką swoją całkiem sprawę popsuł, ludzie androny płtą.

— Domy mi pozamykali!

— Ale wiem — spuszczaając głowę rzekł jenerał — to ze strachu, żebyś gdzie spotkawszy Rybińskiego awantury nie zrobił.

— Myślisz?

— Jestem tego pewny.

— Nie byłeś u wojewodzinej?

— Owszem, w rozpaczy biedaczka

— Jakto! czego?

— A, po Rybińskim!

Podczaszyc ręce załamał.

— Po nim? jak to? zkaż-że się to wzięło?

— Z waści widzę wielkie jeszcze niewiniątko! — śmiejąc się odpowiedział Baucher. — Nie domyślałeś

się nawet co się pokazało, oto, że pozornie cię na sznurczku trzyma, aby tem pokryć ściślejsze stosunki z Rybińskim; od czasu jakęś go postrzelił, zachorowała, w rozpacz, ręce łamie, zachodzi się, płacze. Mąż nie wie o co idzie, złożyli to na spazmy, siedzi przy niej, wzdycha, a łzy mu grochem płyną, trzech doktorów nieodstępnie.

— To być nie może!

— Ale tak jest, darmoby nie wierzyć.

— Wojewodzina! ona nim gardziła, ona się śmiała ze mną z jego głupstwa!

— Głupi być mógł, ale to inny interes! przystojny chłopiec! Tak jest! podczaszycu — tak jest!

— A inne panie nasze?

— Teraz kto żyw za Rybińskim bo ranny.

Podczaszyc z gniewem zaciął usta.

— Nikt nawet nie spytał o mnie?

— Jedna starościna i to po cichu — ale tej teraz nowy amant pilnuje djabelnie, a o Frascatelli wiesz przecie?

— Chora?

— Umarła dzisiaj — rzekł Baucher spokojnie — i lepiej zrobiła — dobre to było stworzenie, ale nie na swoim miejscu, jej trzeba było pójść do klasztoru, nie do teatru.

— Biedne dziecko — odezwał się podczaszyc ze smutnem uczuciem — zapewne lepiej że skończyła życie, które dla niej było nieznośną męczarnią.

— A zatem — począł gość któremu już pilno się było wymknąć, chwytając za kapelusz — a zatem potrzeba cię pożegnać podczaszycu; siedź cicho, nigdzie

się nie pokazuj, my puścimy fusa żeś do Niemiec uciekł — potem się to utrże.

I generał nakładał co najprędzej rękawiczki, pragnąc się wyrwać, bo mu i lokal i suche przyjęcie nie smakowały wcale.

— Chwilę jeszcze, panie jenerale, czegoż się tak spieszysz?

— Do zamku, muszę do zamku! jeśli mi masz co do polecenia...

Podczaszyc szukał w głowie, ale nic nie znalazł.

— Nie zapominaj o mnie przed królem — odezwał się — a radź co mam począć jeśli Rybiński wyzdrowieje.

— Trzeba się będzie z nim strzelać.

— A gdyby znów nie wyszedł! Jak się oczyścić.

— Najgorzej się oczyszczają — obojętnie rzekł generał — nim się on wyliże ludzie zapomną, wrócisz, pojedziemy sobie dalej po staremu i kwita. Byle ten przekłety sejm, który myśli z gruntu wszystko przerabiać, pokoju nam nie zamącił.

— Co się dzieje z podskarbinem?

— A cóż! sądzą go i odsądzą od wszystkiego.

— A hetman?

— Hetman go sędzi, robi co może mimo wrzasku... pokoju nie mając na chwilę. Król między młotem a kowadłem. Mijają złote czasy, którychśmy używali, głowa pęka od zajęcia i strachu. Dziś wielki wieczór u posta, chybić nie można, śpieszyć muszę.

Zerwał się znowu.

— Wcześniej jeszcze jenerale, chwilę, chwilę, pociesz mnie trochę.

— Przyznam ci się podczaszycu, że dalipan zamiast

cię pocieszyć, jeszczebym sam tu gotów się rozstękać, tak u ciebie na więzienie zakrawa. Ja jestem sybaryta, gdy mnie nie otacza zbytek i dostatek, tracę siłę... na nic się nie zdałem. Bądź zdrów, a na ucho dodał: Widzę że i tuś sobie obmyślił lekarstwo od nudów, najrzałem ładną twarzyczkę. Dobrze pomyślano; zawsze to dystrakcja.

Podczaszyc się zarumienił i prawie rozgniewał.

— To tak jak siostra moja — zawołał porywczo — wychowane ze mną i święte dla mnie dziecię.

— Och! och! zazdrośnik — rozśmiał się stary — zazdrośny! wstydź się! dalipan zawczasie, jeszcześ przecie nie łysy — dobra noc.

I wyniósł się co prędzej, obiecując sobie że nie rychło drugi raz odwiedzi podczaszycą.

Pozostawszy sam z sobą Ordyński, zatopił się w myślach smutnych, przebiegając całe życie swoje i rozpatrując się nad tem, do czego ono go doprowadziło. — Szcęściem jeszcze, choroba Rybińskiego czyniła niejakką nadzieję wyjścia z tego fałszywego położenia, jeżeliby ocalał.

Byłby tak dumał długo, gdyby nie poczuł, że ktoś cichaczem się wsunąwszy tuż przy nim stanął. Był to cavaliere, którego Anna przez wpół otwarte drzwi najrzawszy krzyknęła, gdyż twarz ta przypominała jej także straszne widziadło na obrazie św. Michała.

— Kto tam jest obok? — spytał Fotofero.

— To moja przybrana siostra, współwychowanka, córka naszego sługi... Ale jakżeś to wszedł i co mi przynosisz?

— Że Rybiński żyje — źleś pan mierzył. — Ale może dobrze się stało. Kwatera kawalerska wcale po-

rządna najęta w ustronnym kątku, wesoła, czysta, wygodna, czeka na pana, co najprędzej wynosić się potrzeba.

Rzekł to tak żywo i nagle, jakby miał w tem jakiś interes, żeby podczaszyc wyniósł się ztąd co najrychlej — uderzyło to młodego człowieka.

— Ale powiedz pan proszę — spytał — dla czego chcesz mnie zmusić opuścić ten kąt spokojny, w którym mnie dobrze i bezpiecznie?

— Ani dobrze, ani bezpiecznie — odpowiedział szybko cavaliere. Nie rozumiem, żeby człowiek dobrowolnie się zamykał w stęchliźnie, ciemności, wilgoci, gdy może mieć co lepszego. Bezpiecznie tu też nie jest, wiem że cię tu już generał odwiedzał, zbyt blisko zamku, zwróci to oczy, może ktoś wydać. A zatem ubieraj się i chodź.

Podczaszyc, jakkolwiek mu to nie było wygodnie, wolał jednak pozostać, i nie rad był że go tu wyspiegował naprzykrzony przyjaciel. Zbliżenie się do Anny niespodziewane, było dla niego wielką pociechą, odświeżało go, rzeźwiło, przenosiło w czasy które zaczynał nazywać lepszemi. Wprawdzie nałóg zbytku, wygody, zabawy, z której także pasją sobie zrobić łatwo, bo są ludzie co bez szumu i hałasu wyżyć nie mogą — ciągnęły go za Fotoferem, ale jakieś silniejsze niewytłumaczone uczucie wiązało do lichego domku.

— Ja nie mogę się ztąd oddalić! — rzekł po rozmyśle stanowczo.

— Dla czego?

— Nie chcę się tłumaczyć.

— Chybabyś pan chciał zerwać całkiem stosunki z przyjacielem i obrazić go śmiertelnie? — rzekł cavaliere z przekąsem.

Podczaszyc spojrział nań z góry, twarz ta znowu wydała mu się straszliwie poczwarną.

— Wybacz pan — rzekł dumnie trochę z pańskim ukłonem — ale ja woli mojej za żadną przyjaźń nie sprzedam.

— A zatem zostań pan tu — zawołał gość — zostań, ale jeśli cię tu odkryją i złapią, ja umyjam ręce.

Ordyński zastanowił się i zadrżał — co tu było począć?

— Do jutra — rzekł.

— Jutro być może za późno.

— Kilka godzin mi daj do rozmyśłu.

— Ja i za godzinę nie ręczę.

Podczaszyc potarł czoło, obejrzał się, jakby rady szukał w otaczającym — gdy właśnie zapukano do bramy, chód w sieni dał się słyszeć, a nim drzwi otworzono, cavaliere niepożegnawszy się nawet, wyleciał piorunem i zniknął.

Tuż prawie wszedł z jednej strony ksiądz Spirydjon, z drugiej Anna. Stare, poważne i piękne oblicze księdza, dziwnie świętem i pogodnem wydało się podczaszycowi po tej poczwarze, która jakby z przestrachu przed chwilą pierzchnęła.

Powitawszy po bożemu; ksiądz wpatrzył się z litością w młodego człowieka i przywitał go powtórnie ścśnieniem ręki; podczaszyc uczuł się jakoś przejęty, upokorzony pod spojrzeniem jego, jakby stał przed najwyższym sędzią.

— Nie obawiaj się pan przybycia nieznajomego — rzekł kapucyn — jestem stary tego domu przyjaciel, o panu wiem wszystko, a nawet tać nie będę, żem tu

dla niego przybył. Cóż to za utrapienie przedemną wyleciał?

— To... dawny mój znajomy — wyjąknął podczaszyc — Włoch pewien.

— Jakiś *diabolus incarnatus* — rzekł staruszek — szusnął koło mnie jakby co złego... gdybym z natury nie był odważny, mógł był mi napędzić strachu.

— Darujesz mi pan, przerwała Anna z uśmiechem przystępując do Michała, żem ja tu ojca Spirydjona poprosiła. Był tak łaskaw że przybył na nasze wezwanie, choć jednej chwili niema wolnej. Zdawało mi się, że pobożny kapłan najpotrzebniejszym panu być może.

— Najpotrzebniejsze — odezwał się podczaszyc z trochę niepokoju, — byłoby mi teraz pewne i bezpieczne schronienie; wszak mnie już i tu podobno chcą szukać, tylko co o tem odebrałem wiadomość.

Anna załamała ręce.

— A ojcze, ratuj, ratuj go na Boga!

Kapucyn namyślił się trochę, przeszedł po izbie, wziął płaszczyk złożony u drzwi, dobył czapeczki z rękawa i rzekł.

— Bierz pan płaszcz, i chodź ze mną, znajdę ci miejsce bezpieczne.

Gdy Anna z wdzięcznością całowała ręce staruszka, podczaszyc posłuszny chwycił płaszczyk i kapelusz, i prawie nie żegnając się wyszedł z księdzem razem.

We wrotach ojciec Spirydjon się zatrzymał szepcząc mu:

— Słuchaj pan, idź jak najdalszą drogą do fórty kapucyńskiej na Miodową, tam pytaj o ojca Spirydjona, w klasztorze Wpana ukryję do czasu, ale wprzód muszę na to wyjednać pozwolenie, a razem iść nie możemy.

To mówiąc ścisnął go za rękę, i o kiju ale żwawo posunął się wskazując podczaszycowi drogę przeciwną. Ten skoczył w bok natychmiast, i w ciemności nie pytając dokąd i którędy idzie zniknął z oczu.

Nie upłynęło pół godziny gdy straż marszałkowska napadła dworek Sienińskich, osaczyła go do koła i rozkazawszy roztworzyć bramę, co Hołodryga spełnił ze strachem, splondrowała od strychu do piwnic, w najtajemniejszych nawet zakątach. Pan Kasper nie zapierając się wcale, że podczaszyc n niego się ukrywał, bardzo jakoś naturalnie zaręczał, że rano jeszcze wyjechał niewiadomo dokąd.

Tymczasem zbieg nasz błądził po ulicach przelewały i napadłszy w końcu stojącego przy szyneczku fiakra, kazał mu się wieźć do kapucynów. Rzucił się w powóz zmęczony, zamyślony, zbity, oczy puszczać na oświecone miasto, po którem przed kilką dniami latał z innemi za zabawą i uciechą, wśród którego teraz się jak zbieg błąkał. Zajrzał w okna domów, w których się bawiono i zazdrościł szczęśliwym, potem żółć zalała mu serce, i oczy od tego obrazu odwrócił. Nigdzie śladu nie znalazł żałoby po sobie. Nagle fiakr rozpętzony się zatrzymał, światła jakieś i śpiewy ocuciły zdrętwiałego, spojrział — przechodził pogrzel.

Długim szeregiem szli księża, zakonnicy, kilku ludzi z pochodniami, a prosty wóz okryty czarnem sukniem powolnie wiózł trumnę czarną drewnianą, odkrytą, z której tylko długi ogon sukni białej i wianek kwiatów widać było. Podczaszyc podniósł się machinalnie na nogi, spojrział i zobaczył białą, spokojnym snem ujętą twarz pięknej Frascatelli, która go spotkała na drodze do grobu, jakby raz jeszcze chciała pożegnać.



Na piersiach, w złożonych rączkach trzymała swój sztylecik zakończony rękojeścią w kształcie krzyża, bo tak biedna umierając mieć chciała.

Od owego wieczora u księcia podskarbiego, kiedy ją poznał żywą, wesołą, szyderską, do dzisiejszego, ile zmian! pomyślał gorzko Ordyński — tak-że się kończy wszelka nadzieja, wszelka radość ziemską?

Pogrzeb był ubogi i nieludny, żadnego z jej przyjaciół za trumną, wielbicieli, mniemanych kochanków ani słychu: dwie spiewaczki Włoszki, służąca, kilka bab, bractwo ze świecami i kupka próżniaków. Trumna kołysała się na wozie wstrzęsana co raz nierównym brukiem, a piękna jeszcze główka Włoszki zdawała się poruszać na białej poduszce, ręce nawet ściskające ów krzyżyk, co z nią szedł do grobu, kołysały na piersiach.

Lza zakreśliła się w oczach podczaszyca i zimny obwiał go smutek, uczuł przelotnie całą nicość i nędzę ludzkiego żywota.

Wtem jak widzenie powietrzne przeciągnął pogrzeb, zniknął, oblały go ciemności, fiakr ruszył i stanęli u klasztornej fórty.

Ordyński zadzwonił, spytał o ojca Spirydjona, i spotkał go już z książką w ręku oczekującego w celi fórtjana.

- Chodź pan — rzekł mu starzec, — nie wiem czy ci tu będzie wygodnie, ale pewnie bezpiecznie.

To mówiąc powiodł go na oddalony korytarz i otworzył maleńką celę, czystą, ubogą, zakonną. Tu postawiwszy stoczek na stoliku u wąskiego łóżeczka, prosił podczaszyca siedzieć, a sam na zydelku pod ścianą się rozgościł.

Obejrzał się Ordyński — czyściej tu, bielej, weselej

może było niż u Sienińskich, ale jakoś straszno. Izdebka wydała mu się szeroką tylko trumienką. Okno za kratą, drzwi ciemne dębowe w głębokiej framudze, szafeczka w ścianie, tapczan, stolik a na nim kilka umyślnie położonych książek, zydelek, dzban z wodą, siennik wypchany słomą, a nad głową posłania wielki krucyfiks drewniany — oto co znalazł w nowem swem mieszkaniu.

— Nie oglądaj się moje dziecko — przerwał mu kapucyn uśmiechając się, — nie ma tu co widzieć, ciasno i ubogo, nagie ściany, tyle ile potrzeba dla zakonnika; dla was pewnie to mało, ale to wam dajem co mamy.

Podczaszyc zarumienił się złapany tak na odgadnionej myśli i szybko odpowiedział:

— Mnie tu aż nadto będzie dobrze, aż nadto, bylebym był bezpiecznym.

— Zdaje mi się, że za to ręczyć mogę, bo choćbyście nawet zeszli kiedy do kościoła i tam was nikt nie pochwyci, w klasztorze nie ma jeszcze zwyczaju szukać i prześladować nikogo... Dawne prawo schronienia jeśli nie jako prawo, to jako zwyczaj istnieje. Smutno wam tu być może, ale kto wie, nie zawadziłoby w samotności pomyśleć nad sobą i przyszłością. — Świeżo rozrzewniony pogrzebem, przygnębiony swoim położeniem, Ordyński odezwał się z wylaniem:

— A! ojczy, gorzkie bo myśli na pokarm przychodzą,.. o świecie myśleć nie warto, ludzie tęsknoty nie warci.

— Bałamuctwo moje dziecko, — odpowiedział kapłan. Świat stary zwodziciel to prawda, ale ludzie są różni, a jakich sobie z między nich wybrałeś, takichś miał, jak kto sobie pościeli, tak się wyspi.

Podczaszyc westchnął ciężko.

— Przyszło do tego — rzekł — kapucyn, żeś Wpan musiał godzić na pierś brata, bliźniego, dla czego? dla czezej obrazy honoru! Rozlałeś krew, a! czy nie czas żeby teraz gdy Bóg łaską swoją uratował od zbrodni, wnijsć w siebie i zwrócić się z tej drogi, która jak widzisz do takich dziur i trapezów prowadzi?

Podczaszyc tak już był odwykły od słów pobożnych, że ich prawie nie pojmował.

— To pewna — rzekł — że żałuję tego co się stało, ale cóż miałem począć?

— Pierwsza rzecz, odparł kapucyn, to plunawszy porzucić te próżniacze życie. Albow to ja was takich paniczów i fireyków nie napatrzył się? co robicie? oto od rana do wieczora bawicie się, używacie — śliczni obywatele kraju! śliczni chrześcijanie!

— Ale mój ojcie, przerwał podczaszyc trochę zawstydzony — czasy włosiennicy i dyscyplin minęły.

— Nie kochanku, ludzie tylko przeszli co ich używali i widzisz, że bez nich coś nie lepiej... albo to piękny widok szaleństw naszych gdy toniemy? To jakby wedle słów błogosławionego Skargi, w rozbijającym się okręcie rozpasani na rozpustę majtkowie, lub jak żołnierstwo rzymskie rozegrywające szaty Chrystusowe u stóp świętego krzyża jego. Myślicie że to sprowadzi błogosławieństwo Boże na nasz naród? A jak Pan Bóg ma kochać tych co o nim wiedzieć nie chcą i wolą się perfumować, niż modlić?

— Zapewne — rzekł — skłopotany podczaszyc — nie przeczę żeśmy może trochę winni, ale trudno czegoś i młodości nie wybaczyć!

— Wiele. wiele się wybacza, odpowiedział Spirydjon,

ale przecie nie wszystko. Gdy się styra, zbłoci, zgnusnieje i zbabieje, to się jej nie wybacza, gdy szaleje zamiast pracować, darować jej tego nie można.

Pierwszy raz oddawna usłyszał Ordyński tak surowe słowa, ale je poszanował, bo mu zuów świętą przypomniały babkę.

— Nie chcę Wmości nudzić perorą — rzekł, wstając z ławy, weselszym tonem kapucyn — samotność i dobra książka, uleczą spodziewam się niezadawnioną jeszcze chorobę... masz pan tu *Drogę do życia pobożnego i Tomasza à Kempis*.... dobranoc — dobranoc. Obejrzał się jeszcze czy czego nie brakło gościowi i wyszedł powolnie.

Milczenie klasztorne otoczyło przybyłego — myśli jego zburzone wiły się kłębamii po głowie, rzucił się na łożo i znużony usnął.

Ale i we śnie dzikie miał jeszcze widzenia, miotał nim szatan wyskakujący z obrazu Ś. Michała, uśmiechał mu się zapraszając go z sobą do trumny Frascatelli, wieziono go potem w trumnie razem z Rybińskim, którego krew buchała w usta zabójcy... potem ogarniały go ciemności, powoli zatętniał dzwonek i szmer jakby długiej cichej modlitwy, zaszumiał w łonie nocy. Napróżno silił się obudzić.

Leżał znów w trumnie, wieziono go przez całą Warszawę, wszyscy znajomi go mijali szydersko, ledwie który głowę odwrócił, by nią pokiwać obojętnie, zobaczył i Annę idącą za swoim pogrzebem, i kata w czerwieni z mieczem — i babkę nad sobą w obłokach i tysiące postaci znanych i nieznanych, a śmiech szatana chwilami aż tłumił dźwięki dzwonu, tak się rozlegał szeroko. Znużony snem i marami, otworzył oczy otoczony białym

dniem i znalazł się na podłodze, gdyż miotając się wi-  
dać spadł z łoża. Zobaczywszy różowe blaski wschodu,  
otworzył okno na ogródek wychodzące, spiekle czoło wy-  
stawując na chłodzący powiew poranku.

## XII.

Następnych dni, ojciec Spirydjon w chwilach wolnych  
nie omieszkiał odwiedzić Ordyńskiego, a każda jego roz-  
mowa coraz głębiej sięgała w serce młodego człowieka,  
który w tej ciszy ciągłej myśleć musiał i myśl zwracać  
na siebie.

Staruszek też nie gromił go ani przestraszał — za-  
wstydział, żartował, wskazywał cele życia, łamiąc nie-  
bezpieczne zasady i przekonania, które Poincot wpoił  
w młodą i wrażliwą duszę. Nie natarczywy, cierpliwie  
i powolnie dokonywał to dzieło nawrócenia, które podjął  
z ufnością w Boga, niezrażony tem wcale że rolę znalazł  
chwastami zarosłą. Podczaszyc w początku słuchał go  
z roztargnieniem, jakby z konieczności tylko, potem  
uważniej nieco, ale mało korzystał jeszcze. Z nudy po-  
chwycił książki umyślnie mu zostawione i odrzucił je,  
bo ich rozumieć nie mógł, i wrócił znowu do nich, a  
słowo czasem jedno, ciągnęło zeń długie pasmo dziwa-  
cznie pomieszanych myśli.

Zostawmy go w tem bezpiecznem ustroniu, a przejdźmy na ten świat, który opuścił. Tu zniknienie jednego  
zapaśnika ani się postrzedz dawało, szął szedł bez niego  
swoją starą drogą, a ludzie i o podczaszycu i o Rybiń-  
skim, który leżał walcząc ze śmiercią jeszcze, zupełnie  
zapomnieli.

Staroście Rybiński co dzień jednak miał się lepiej.

W początku cała Warszawa brała udział w jego cierpieniu, a pani wojewodzina aż się była rozchorowała, posyłano, dowiadywano się, lecz po upływie jakiegoś czasu poczęło to ustawać, a piękna Karolina widząc że się nie rychło doczeka jego powrotu do zdrowia, wybrała mu zastępcę, choć jeszcze po nim czasem wzdychała wieczorami. W parę tygodni doktorowie zaręczali już za życie, ale podчасzycowi pokazywać się jeszcze nie było można, bo zawsze by za zadane rany i napad z bronią w rękę, przed marszałkowskim sądem odpowiadać musiał.

Tymczasem po zniknięciu Ordyńskiego, dom jego, konie, sprzęty, przez wierzycieli przyaresztowane zostały, rozciągniono nawet sekwestra na majątki, a po obliczeniu strat, które w ciągu pobytu w Warszawie poniósł, okazało się że połowę większą majątności sprzedać by potrzeba, ażeby długi uspokoić. Reszta majątności znacznie też zahartowana była przez podчасzynę do Włoch jadącą, tak, że w najszcześniejszych okolicznościach, Głusza mu i coś jeszcze przy niej pozostać mogło. Nie było też komu chodzić około interesów, a że wierzyciele i zastawnicy ostro się pilnowali, wszystko przez nich zostało pozajmowane w administrację.

Stan majątku był niemal zrozpaczony, a podчасzyna której o tem doniesiono, odpisała do Laëe Poincot, że bardzo ubolewa nad położeniem syna, ale go poratować nie jest w stanie, i do kraju wrócić nie myśli, radząc, by spieniężywszy w Polsce resztki jakie ocalić potrafi, do niej do Florencji się przeniósł.

Podчасzyc odebrawszy ten list, przeczytał go i obojętnie odłożył na stronę. Nie ciągnęły go wcale Wło-

chy — cóżby tam robił ubogi? tu jeszcze miał nadzieję dźwignienia się, tam żadnych. Może też uczucie jakie wzrosło w samotności przywiązywało go do kraju, choć się przed sobą do niego nie przyznawał.

Anna zjawiała się niekiedy w kościele do którego umyślnie często teraz modlić się przychodziła, a i on mszy słuchiwał w łoży od niejakiego czasu. Młoda miłość ku niej obudzała się coraz żywiej, pierścionek, nawet z pierśi poszedł na palec — bo się go już teraz nie wstydził.

Sam sobie dziwił się jakim szczęściem samo widzenie jej napawało go zdaleka, jak go wzruszał jeden rzut oka, który ku niemu posłała, dziwił się że więcej nie pragnął, że z tęsknem i spokojnem przywiązaniem miło mu było dumać o niej dnie całe.

Od owej nocy, w której się przeniósł ze dworku Sienińskich do klasztoru, cavaliere już mu się nie ukazał więcej — miał jednak jego wizerunek przed sobą, bo mu Anusia odzyskawszy z domu obraz Ś. Michała przysłała. Ale szatana zakrył, by go nie widzieć.

Rozwahał teraz jak dziwnie ta postać wplątała się w jego życie i jaki na nie wpływy wywarła. Znajdował ją na każdym kroku, wszędzie z pomocą pozorną, a zawsze wiodącą do zguby.... dziwaczne myśli wiły mu się po głowie.

Raz tedy gdy ks. Spirydjon przyszedł do niego rannem po mszy, podczaszyc niby żartem począł coś o szatanie; zakrycie jego twarzy na obrazie, o które się kapucyn zapytał, było powodem rozmowy.

— Ojcie — rzekł mu spoufalcony już z nim trochę — juźciż szatan jest prostym wymysłem?

— Jak to? moje dziecię, spytał ks. Spirydjon.



— Jużciż, i u nas nawet ks. Bohomolec z niego się śmieje.

— A! Bohomolec może! ale na co ci to pytanie? mów mi otwarcie, bo zdaje się, że krętą ścieszką do-  
kądś dążysz.

— No, to powiem wszystko otwarcie, ale się ze mnie nie śmiej mój ojcie — odparł podczaszyc — zawsty-  
dzony prawie odkrywając postać szatana na obrazie —  
Widzicie tego anioła ciemności, tę poczwarną, stra-  
szliwą, dumną i wykrzywioną śmiechem przekleństwa  
głowę?

— Widzę i zdumiewam się malarzowi, co ją tak po-  
myślał i wyraził!

— Ten obraz należał niegdyś do babki mojej, święto-  
bliwej niewiasty, modliłem się nie raz przed nim w dzie-  
ciństwie do mego patrona, a na dziecku jeszcze tak  
wielkie robiło wrażenie, że mi się we snach roila ta  
potwora. Później strach przeszedł, ale wstręt pozostał.

— No i cóż dalej! Dziwną mi historją prawisz —  
rzekł ks. Spirydjon.

— Najdziwniejsza dopiero się rozpocznie — cichszym  
głosem począł podczaszyc — oto tu w Warszawie, wkrót-  
ce po mojem przybyciu, wciągniono mnie na wieczernę  
hulacką do księcia podskarbiego.

— Niema co mówić, dobre miejsce dla skończenia  
edukacji — szepnął kapucyn.

— Tam poczęto ze mnie sobie szydzić młodzika, i  
ktoś mi podrzucił pytanie, że pewnie choć w djabła  
wierzyć muszę. Ja w śmiech, ale oglądam się, a tuż  
w zwierciadle kubek w kubek mój djabeł z obrazu mi  
się kłania.



— No! no! — zawołał ks. Spirydjon — to coś bardzo zawiłego, czy ci się tylko nie przywidziało?

Podczaszyc jak najdokładniej opowiedział staruszkowi swoją znajomość z cavaliere Fotofero, jego usługi, rolę jaką w krótkim życiu odegrał i każdy krok tego dziwnego przyjaciela aż do ostatnich odwiedzin.

Kapucyn dobrze mu patrzył w oczy, jakby go trochę o sen na jawie lub bzika posądzał, a naostatek dodał:

— Są rzeczy niepojęte moje dziecko, ale gdy człowieka opanuje niemoc, a wie na nią lekarstwo, jakby go nazwano gdyby użyć nie chciał?

Podczaszyc zmilczał.

— A na diabła — dołożył ksiądz — czy on *incarnatus* czy *invisibilis*, jeden mamy pewny środek od lat tysiąca siedmuset kilkudziesięciu — krzyż święty i modlitwę — czyżeś ich waćpan użył kiedy?

Podczaszyc rozśmiał się, bo dotąd niestety modlić się wstydził, a rady babki nie umiał posłuchać. Kapucyn spojrział na uiego i tabaki zażył.

— Tacy to z was teraz ludzie — rzekł — wierzycie we wszystko krom w Pana Boga, w oszustów illuminatów, w Mesmerów, Cagliostroów, w Swedenborgów, w ducha Gablidona, w Massonów i całą klikę ich, we wróżby, czary i widzenia, a gdzie istotnie wierzyć potrzeba, to wstyd!! Oj ciężko nas Bóg z tego kurować będzie musiał mości panie, zapiszczym, zaskwirczym... Ale nie dowołamy się litości póki....

Starzec zamyślony zamilkł.

— Ale cóż ojcze sądzisz o tem? — spytał podczaszyc — to dla mnie coś niepojętego.

— A dla mnie jasno jak na dłoni, że gdybyś się modylił, to by cię ta słota opuściła. Reszty ja nie tłumaczę, bo nie wszystko się tłumaczy.

Ordyński siadł zadumany.

— Waś się djabła zaparłeś że w niego nie wierzysz, śmiejąc się dodał kapucyn — co za dziw, że dumna sztuka chce się zemścić, to tak jakbyś się waszeć nie ukłonił wielkiemu panu i tyłem się do niego obrócił. Pan Bóg, choć go się co dzień słowy i czynem zapieramy — *patiens quia aeternus*, a temu graczowi niedaleka może meta, musi się o swój honor upomnieć!

— Ojcie żartujesz sobie ze mnie?

— Śmieję się, prawda, ale kto wie czy żartuję. Mądry nasz wiek w nic wierzyć nie chce w co ojcowie wierzyli, nowe sobie koncypując artykuły, i na czele stawiając jakiegoś Pana Boga (odpuść Panie) swojej roboty, a dalej cały rząd inwekcji różnych.

— Jakże tu z wami o tem i mówić kochanku? od czego zacząć ludziom starej wiary, co wiele rzeczy i nie pojmujemy i rozbierać nie śmiemy; gdy wy macerujecie każdą rzecz, nie patrząc czy narzędzie, którym robicie swoje analizy bierze materiał czy nie! Słowem, heblujecie wodę i świdrujecie powietrze!

A widząc chmurną twarz gościa swego zakończył:

— Zrób to waćpan dla mnie, a pomódl się też kiedy, popróbuj! Świętą miałaś babkę co cię wychowała, na łożu śmierci woła do ciebie zdaleka prosząc byś nie zapominał o Bogu — czemuż i dla niej uczynić nie chcesz, co ci przecież zaszkodzić nie może?

Nic nie odpowiedział Ordyński przez fałszywy wstyd

jakiś, w którym go zakamieniły sarkazmy Labe Poin-sot, i pojęcia na których podrastał przy matce. Stary kapucyn westchnął boleśnie, zamilkł. i po cichu odcho-dząc. zostawił go samemu sobie.

### XIII.

W ozdobnych pokojach od czoła jednego z pała-ców ulicy Senatorskiej, przechadzało się dwóch ludzi o szarej wieczornej godzinie. Służący zapalali świece w żyrandolach i przygotowywali się do przyjęcia widać spodziewanych gości. Apartament, w którym się to działo, świeżo był obity, przystrojony, i świecił przepy-chem. pragnącym więcej popisać się z bogactwem niż smakiem.

Znać w nim było człowieka, co myślał jakby z ust wywołać wykrzykniki: musi być panem.

Wielka sala cała wybita była adamaszkiem zielo-nym w kwiaty. w złożone oprawnym ramy, firanki po-dobne z frędzlą złocistą osłaniały okna, żyrandole świe-ciły od szkieł i bronzów, liberja strojna w pończochach i trzewikach zwijała się w wielkiej liczbie.

Gospodarzem w tym wspaniałym domu był Włoch ów, Cerulli. któregośmy już widzieli u podskarbiego i podczaszyca. co tak nagle znikł z Warszawy, a teraz bezpiecznie powrócił i znów dom otwierał na większą jeszcze niż pierwej stopę.

Towarzyszem z nim rozmawiającym był cavaliere Fotofero, czarno strojny, wyelegantowany, z dość zafra-sowaną minką. Oba ujawszy się pod ręce chodzili po sali wielkimi krokami, wiodąc z sobą żywą rozmowę.

— Nie inaczej — rzekł Fotofero — potrzeba podczasyc ratować, bo gdzieś ze strachu zaszył się w kącie, a tam go pewnie zaskoczą ludzie co nawracać lubią i zbałamucą głowę młodemu chłopcu. Zajmuje on mnie wielce, nie radbym żeby marnie zginął, potrzeba go uwolnić z tej kozy i na świat wyciągnąć.

— Stracił słyszę majątek?

— Być może i nie byłoby to dziwnem, ale czyż jeden żyje i hula nie mając? Od czegoż kredyt, przyjaciele, kobiety i karty?

— Zapewne, ale do dawnego trybu życia nie wiem czy powróci.

— Mylisz się, byleby się ukazał, łatwowierni, których pełen świat, kredyt mu powrócą, ciekawi będą się cisnąć do niego; trochę śmiałości a potrzyzyma się jeszcze na nogach. Potrzeba tylko naprzód, żebyś ty go rehabilitował w opinii. Już się okazuje z samego przyjęcia tutaj, że nowym charakterem odziany, nie jesteś, nie możesz być w podejrzeniu o szulerkę, za co właśnie z Rybińskim była robota; znajdziesz łatwo, przegrawszy im trochę, dwóch, trzech ludzi co pójda z tobą upominać się o twoją krzywdę u postrzelonego starościca, dasz sobie aplomb i zbawisz Ordyńskiego.

— A ba! generał i szambelan by poszli!

— Dosyć ich będzie, obu dzisiaj mieć będziesz, poproś ich o to. Jak skoro skończysz z Rybińskim, a podczasyc się uniewinni, nic mu nie będzie przeszkadzać do pokazania się na świecie, awanturę zatrzeć łatwo i skargi eliminować. Zresztą jeżeliby się wahał wyjść ze swojej dziury mój protegowany, o co mi wielce chodzi, znajdę na niego sposób...

— Obfity jesteś w sposoby — jaki?

— Najlepszy! Najrzałem w dworku do którego się był schronił, prześliczne dziewczę, widocznie jakąś jego sekretną dawną a ulubioną kochankę. Ludzkie oko dotąd jej nie zna w Warszawie, a to kąsek smaczny. Byle o niej rzucić słówko tym pocziwcom którym nie nad nowość nie smakuje, posuną się do niej, zaczną się kręcić, ścigać, a jego zaraz zazdrość wypchnie z kąta na obronę faworytki. Wyciągnę go jak na wędkę, bo mi doprawdy żal — zmarnieje to...

— Widzę że ci o to bardzo chodzi, żeby podczytyca świat odzyskał! — rzekł z uśmiechem szyderskim Cerulli.

— Bo mi go żal, bo szczerze żal, z praktycznego filozofa jakim już być poczynął, łatwo go tam przerobią na pospolitego bigota.

— Czy należał do Wschodu? — spytał Cerulli.

— Dotąd nie — odpowiedział cavaliere — ale lada dzień bylibyśmy go wciągnęli gdzie chcieli, bo mu się głowa paliła, bardzo by się przydał na prowincję.

— Cóż kiedy tak słabego charakteru?

— Ale jest uczucie honoru! Słaby człowiek zresztą, w ręku mocnego człowieka, to jedno z najlepszych narzędzi do działania, bodaj to z nimi tylko mieć do czynienia!

I rozśmiał się głośno, a w tem rozmowa przerywana została wniknięciem kilku osób znajomych nam już z tej powieści, które się spotykały prawie wszędzie gdzie się wesoło bawiono. Szukali naówczas i najumiarkowańsi gdzieby trochę poszaleć i odurzyć się mogli, tak ciężkie brzemie frasunku wkładała na ich ramiona owa epoka walki.

Szambelan Turski, sławny swoją mową w procesie

Ponińskiego, jeden z naczelników massonerji warszawskiej, Trembecki, Łojko, Kicki, Węgierski, Komarzewski, Suchodolski i kasztelan orator, nadeszli jedni z pierwszych, za nimi poczęli się ściągać i mniej znajomi goście, wśród których ukazali się Zabiello, Bielawski, Witten, Wejssenhof, Zajączek i poseł inflancki, sławny już naówczas autor śpiewów kilku, dum, bajek i komedji w rękopiśmie przygotowanej, która czytana naprzód u Mostowskich, potem na innych wieczorach, wielki rozgłos i wielkie zjednała mu oklaski. Mnóstwo przytem posłów i różnego stanu ludzi nacisnęło się na ten wieczór do Cerullego, który świetnie się zapowiadał.

U drzwi sali witał swoich gości pan Cernlli w paradnym stroju *a la française*, z kilku krzyżami, któremi się obwiesił z widoczną intencją pokazania ich wszystkim, z uśmiechem dumy, zadowolenia i łatwością człowieka dobrego tonu. Fotofero cofnął się zaraz i niepostrzeżony zmieszał z tłumem. Zawsze tak u nas bywało, gdzie gra i przyjęcie, stół otwarty i kielichy, nie wiele pytają o imię i pochodzenie gospodarza. Lada przybłęda hyle drzwi otworzył, stoliki rozstawił, gromadzi do siebie i sam łatwo wszędzie znajduje przyjęcie. Tak było i wówczas z większą jeszcze może niż dziś łatwowiernością; lada cudzoziemiec umiejący po francuzku, ubrany porządnie a mający czem przyjąć, stawał na stopie poważnej. A jeśli jeszcze świeciły na nim kilka cudzoziemskich orderów i opiekowali się możniejsi, ani spytano z jakiej to dziury wylazło na świat.

Wśród zabawy, przy której w początku i mowy o kartach nie było, Włoch ciągle się uskarżał na Ry-

bińskiego, ubolewając, że skład okoliczności, gwałtowna potrzeba, która go nagle do Wiednia powołała, nie dozwoliły na gorącym razie o krzywdę się swoją upomnieć. — Wszyscy słuchali go w milczeniu, i pozwoli przekonać potrafił, że czuł silnie wyrządzoną sobie obelgę.

Przed wieczerzą zmuszono szambelana Węgierskiego że przeczytał wiersz swój do Zamojskiego, jedyny pochwalny jaki w życiu napisał, i okryto go oklaskami; potem poproszono posła infantaskiego o wyjątek z *Powrotu posła*, a że i Bogusławski się znalazł pod ręką, powierzono mu odczytanie scen kilku przyjętych z wielkim zapalem. Gospodarz choć po polsku ani be ani me nie rozumiał, cieszył się z humoru gości i wierzyć zdawał oklaskom, do których szcudrze przysypywał nie żałując dłoni. Rozmowa potem ożywiając się coraz, dotknęła polityki, społeczeństwa, a w ostatku przeszła w plotki o kobietach, finał nieuchronny każdej polskiej gawędki. Wspomniał ktoś wojewodzinę, ztąd Rybińskiego i podczaszyca.

— Żał mi tego chłopca — rzekł jenerał liczący się dla formy zawsze do przyjaciół jego, w nadziei, że może jeszcze na wierzch wypłynąć — żał mi go, bo jak się okazuje skrzywdzony był i za żywość tylko pokutuje.

— Zdaje się — dodał ktoś — że gdy Rybiński wyzdrowieje, nie mu nie będzie na zawadzie do pokazania się znów na świecie.

— Ale słyszę — szepnął jenerał — strasznie wiele przez ten roczek prześwistał.

— A co tam! — zakrzyczano — jeszcze bogaty, matka jego żyje po książęcemu we Florencji, dobra



ma ogromne choć zahartowane, ożeni się i interesa podkuruje.

— Myślisz pan? — spytał generał.

— Jestem tego pewny, byleby ubił do licha to zajęcie z Rybińskim, pogodził się z nim, wszystko się zreperuje. Zwłaszcza, że tu i kłócić się nie ma o co; winien staroście był, dostał naukę, wychodził się z niej i sza. Co się tyczy wojewodziny, nie mają się już o co jeść, kiedy trzeci zajął miejsce przy jejmości.

— Cha! cha! — wniósł się ze swym śmieszkiem suchym Cerulli — podczaszyc jak się widzi serce miał szerokie, wszak ci to, panowie uwierzcie, przy tylu amorałach na któreśmy patrzyli, jeszcze jedną jakąś chował potajemną faworytkę, słyszę cudo piękności, utrzymywał ją gdzieś we dworku na Bednarskiej ulicy.

— Ja ją nawet najrzałem — przerwał generał — śliczna dziewczyna niema co mówić.

Wszyscy uszu nadstawili, bo nowa, nieznana i zalotna jak sądzono piękność, była dla nich niespodziewaną i miłą gratką.

— Cóż się z nią stało? gdzie ona? — spytano ze wsząd.

— Zdaje mi się że pozostała w dworku na Bednarskiej ulicy, ma to być wiejski kwiatek — dodał Cerulli z włoskim akcentem szarlatana zachwalającego cudowny olejek leczący rany, zasiewający włosy i wywabiający plamy — ma to być wiejski kwiatek prześliczny, coś niewinnie pięknego...

Młodszy panowie spojrzeli po sobie.

— A gdzieżby to ją zobaczyć można? spytał kasztelan orator.



— W łazienkach nie bywa — szepnął ktoś z cicha po za nim — to pewna.

— Chyba w oknie dworku, bo nigdzie nie pokazuje się i nie wychodzi... dziecię to jeszcze, ledwie może szesnastoletnie.

— Ba! w to graj! — cmoknął kasztelan ręce zatarłszy — i do tego nie Warszawianka. Jakże się to dzieje, że jej dotąd nie wyszpiegowano i nie zbałamucono.

— Ale bo to ma być na serjo kochanka podczaszyca i dziewczyna poczwiwa!

— Cha! cha! — zaśmiał się stary fundator kąpieli, ruszając ramionami i udając że na dłoni liczy pieniądze — a to od czego?

Podkomorzy brański, który oddawna ziewał, pociągnął za rękaw gospodarza.

— A co grać nie będziemy? spytał.

— Nie chciałbym — rzekł Cerulli wymawiając się.

— No! no! na bok niepotrzebna skromność! Każ po dać kart i kości, niech poeci i literaci pod nos sobie kadzą, my czasn nie traćmy! Niech sobie pan Bielański z Węgierskim jedzą się kiedy chcą od nóg czy głowy poczynając, Ursino niech bajki prawi, a inni choćby i prawdy mówili, nie nam to do gry przeszkadzać nie może.

Prosimy o karty, *unanimiter* prosimy o karty — podał generał i inni za nim.

Gospodarz wahał się jeszcze nieco, ale wreszcie uledez musiał słodkiej przemocy, i kupka złota błysnęła na zielonem suknie. Ci co grać nie mieli ochoty, pili, rozmawiali, porozchodzili się, a że salon taki wygodnem był miejscem do schadzki i rozmowy, korzystając z za-

jęcia karciarzy, sformowały się kupki politycznych rozprawiaczy i posłów o przyszłej naradzających sesji.

Ofiary które znoszono zewsząd na wojsko mające się podnieść do stu tysięcy żołnierza — z których wiele nosiło na sobie charakter prawdziwie obywatelskiego poświęcenia i zapału, zajmowały w tej chwili kilku najgorliwszych; poczynawszy od kutych wozów Marjańskiego kowala, do pieniędzy, pułków, sprzętów, do osób które same siebie przychodziły poświęcać na usługę kraju, nie było daru któregooby w pierwszych dniach po uchwaleniu prawa nie złożono na ołtarzu. Srebra, kosztowności, ślubne nawet pierścienie, konie, broń, znaczne sumy pieniężne, całkowite starostwa dawano tłocząc się i usiłując innych uprzedzić, a uniesienie z jakim to czyniono podwajało znaczenie datków, niestety! niewystarczających jeszcze na to, co dzwignąć miały. Spodziewano się jednak, że gdy miasto i kilku możnych tak wiele zrobić mogli, kraj z ochotą roboty tej dokończy.

Rozmowa o różnych sprawach potocznych sejmu, trwała godzin kilka pocichu między zgromadzonymi, gdy zgrany trochę gospodarz bank zamknął i drzwi otwarto do sali jadalnej rześisto oświeconej, w której stół w tajemniczy ustawiony był trjanguł.

Jenerał Baucher, dawno oczekujący tej chwili uroczystej, pierwszy rzuciwszy karty, wotować począł aby praw żołądka nie zapomniano a potrawom nie dać stygnąć, i wszyscy affirmative głosując, hurmem się sypnęli w drzwi otwarte.

Łakotnisie rzucili się zaraz na ogromne stosy olbrzymich raków, które jak koralowe piramidy z trzech rogów stołu się wznosiły na wielkich srebrnych blatach. Bancher założył serwetę pod brodę i już obcy rozmowie

wszelkiej, oddał się cały przekonywaniu, dowodząc że dwom panom na raz służyć nie można.

Raki, ostrygi, ryby, mięsiwa, pasztety, oblano przedziwnym winem, którego był dostatek, a goście w uniesieniu admiracji dla gospodarza, przy końcu wieczery gotowi go byli żywcem kanonizować. Korzystając z tego szczęśliwego usposobienia i coraz żywiej objawiających się czułości, Cerulli stanął nagle z kielichem w ręku i prosił o głos — stało się milczenie wielkie.

— Panowie! rzekł Włoch, pozwólcie bym przy tej zrzeczności wziął za słowo miłe oświadczenia które tu odbieram — ratujmy człowieka, i droższy nad wszystko honor niewinnego. Honor nad wszystko! nieprawdaż? Wzywam tu przytomnych jenerała i pana szambelana P... aby mi byli łaskawi jutro towarzyszyć do Rybińskiego! Mogę liczyć na łaskawą pomoc?

Jenerał który poczynął trawić, a odbywając tę funkcję sprzeczać się nie lubił, kiwnął tylko głową dając znak zezwolenia i gotowości. Szambelan którego wino czyniło czułym, poszedł aż ścisnąć Cerullego, którego wycałował przy tej zrzeczności na wszystkie strony, przyrzekając *unguibus et rostro* bronić go (póki będzie dawał podobne wieczory).

— Czekam tedy kochanych panów jutro o jedenastej ze śniadaniem — rzekł kłaniając się Cerulli; posileni ostrygami, które pocztą sprowadzić kazałem, ruszym rozmówić się z panem starościcem. Niech mi powróci co wydarł — imie zacne de Cerullich hrabiów państwa Rzyńskiego, nie dozwala mi i chwili ścierpieć tej plamy! Rzekł — a szumny toast wzniósł się na cześć amfitriona, którego *de* przyjęte zostało oklaskami.

Jenerał jednak pozostał zamyślony, raz że w rakach

przebrał trochę miarę, powtóre że niekoniecznie był rad zadrasnąć Rybińskich, i kłaść palce między drzwi; — myślał jakby się wykręcić — ale niestety! nie było sposobu!

Wieczór skończył się prawdziwą orgią pijacką, w której uczestniczyła znaczna część tych co jutro zasiadać mieli na prawodawczych ławach. Ranek powitał niedobitki śpiewające pieśń Hiramową i przy pieniu o wschodzie, istotny wschód słońca zajaśniał w oknach sali. Drzemających śpiewaków karety porozwoziły po domach.

#### XIV.

Rybiński przechadzał się już po pokoju i przyjmował przyjaciół, którzy odwiedzać chcieli; miał się znacznie lepiej, blady był tylko i upływem krwi i djętą osłabiony, ale mu za parę miesięcy zupełnie zdrowie i powrót dawnych sił prorokowano. Znudzony zamknięciem, nie-lubiąc książek, bo wcale nie rachował na rozum i literaturę, bawił się sobie wystrzyganiem sylwetek, które robił bardzo zręcznie i grą w szachy ze starym panem Mieleckim szlachcicem kujawskim, który przybył jako stary przyjaciel domu pielęgnować go w chorobie, i żyjąc na koscie księdza biskupa, bardzo był rad gratce która mu się upiekła *insperate*.

Kłócili się trochę przy szachach i marjaszu z panem postem: połajał czasem Rybiński lub djabłami wykłął, nabondiuczył się pan Mielecki i postawił okóniem, ale te burze codzienne przechodziły szybko i po nich znowu w godzinę najlepsza wznawiała się komitywa. Resztę czasu, gdy Kujawiak na piwo lub miasta powąchać poszedł,

spędzał pan Rybiński w oknie na miłym przypatrywaniu się ulicy, lub gawędzie z Maćkiem, dawniej pajukiem dziś pierwszym swym sługą. Taki był stan i zajęcie konwalescenta, a właśnie gapił się przez szyby nie mając co robić następnego ranka, gdy ujrzał trzy karety zatrzymujące się w bramie; a że go wielu odwiedzali i gościom był rad, a kujawiaka nie mając pod ręką nudził się — nie pytając kogo Bóg dał, Maćkowi puścić kazał. Zdziwił się nie pomału postrzegłszy po osobach gdy weszli, że to się włókł jeszcze ogon sprawy z podczaszycem.

Jenerał, szambelan i de Cerulli, uzbrojony we wszystkie swe orderzy, weszli bardzo poważnie jak przystało na ludzi mających sprawę honorową na karku — skłonili się z daleka, a szambelan P. jako najwymowniejszy, z gracją i polityką dworską rzecz rozpoczął:

- Starościcu dobrodzieju — rzekł ówczesnym stylem wieku, co wymowę często w płataninie mieścił — cieszy to nas niepomału że mamy szczęście oglądać go w zdrowiu pomyślnem i powtórnym raz w progach życia, jakby na nowo na świat narodzonego — pora to zdaje się rozpoczynając *cursum vitae renovatum ab alto* — naprawić lekkie może ale pewnie bolesne uchybienia, jakie z prędkości, żalu, lub serdecznej jakiejś afekcji popełnić się mogło.

Starościc znużony, zmieszany, nic jeszcze nie zebrał się odpowiedzieć, szambelan zrobił przestanek, zażył tabaki i własną elokwencją uradowany. tak dalej rzecz swoją ciągnął:

— Tak jest, przybyliśmy tu jako pośrednicy i posłannicy zgody z gałęzią oliwną.

Racz nam pan ucha łaskawego nie poskąpić; przystępuję do krótkiego eksponowania interesu!...

— Ale ja żadnego interesu nie widzę i do żadnej się winy nie poczuwam — odburknął starościc, któremu powoli impet zwyczajny powracał.

— Za pozwoleniem to się zaraz wyjaśni — o ucho łaskawe proszę. Przytomny tu hrabia de Cerulli, Neapolitańczyk, krzyża złotej ostrogi, św. Huberta i duńskiego słońca kawaler, naczelnik Melchizedechowych łóż na Wschodzie naszym — czuje urazę do pana starościca o lekkie słowo w żalu rzucone, gdyś się go zdał pomać o grę nieuczciwą. To dało powód do nieszczęsnej zemsty objętego wyrzutem podczaszyca Ordyńskiego. Tak lekko ludzi szacować nie godzi się, i to właśnie do poprawienia zostaje.

— Tak, należy do poprawienia — dodał generał — który się już nudzić poczynął — kochany starościcu, zapomnij niesłusznego żalu i wróć honor komu go ująłeś nierozważnie.

— Jakże ja to odwołać mogę com powiedział — zapytał Rybiński, zaczynając się mieszać trochę.

— Całe miasto i najlepsze towarzystwa, najdostojniejsze damy znają hrabiego de Cerulli jako najzacniejszego, najszlachetniejszego człowieka. Pozycja jego w naszym Wschodzie i wysokie posłannictwo, które piastuje, udowadnia charakter jego. — W tej chwili Rybiński należący do łóży spojrział na Włocha, a ten dał mu znak po którym starszego poznał posła, skłonił głowę w pokorze i rękę podał na znak zgody.

— Skoro tak jest, winienem zapewne — rzekł ciszej — ale proszę przyznać, że drogo opłacił prędkość, bo

z drugiego świata powracam, nie wymagajcież odemnie jakiego upokorzenia.

— Uchowaj Boże — krzyknął szambelan, rad że się kleiło jakoś — o to tylko chodzi, abyś pan hrabiemu de Cerulli wrócił *activitatem*, a tamtego o strzał nie *prosekwował*, boś go sobie sam naprowadził krwią gorącą.

— Podczaszycowi wybaczam, sambym może był nie lepszy, dzięki Bogu żyję, winę uznaję, kiedy o to chodzi i rzecz skończona, ale wątpię by stryj mój równie powolny był do zgody.

— To rzecz nasza — przerwał generał — król Jego-mość przyrzekł w tym względzie przeważną instancją swoją i on to na ks. Kujawskim wymoże.

Starościc skłonił się grzecznie i zamilkł. Rzeczy jakoś nadspodziewanie gładko się ukartowały, a braterstwo w loży niezaprzeczenie największą ku temu było pomocą. De Cerulli zbliżył się do starościca.

— Muszę też panu — rzekł — jaśniej wytłómaczyć się dla czegom naówczas znikł i zaraz się nie starał o wyklarowanie tego nieszczęśliwego nieporozumienia. Wiesz pan, że rozkazy starszych nie cierpią zwłoki, a z nieposłuszeństwa wytłómaczyć się niczem nie można — odebrałem był właśnie rozkaz odbycia poselstwa spiesznego do Wiednia dla narady o połączeniu łóż ścisłej obserwacji z eklektycznemi, i wynalezienia środków przeciw illuminatom, co nas i prześladują i z przed nosa nam ludzi biorą... musiałem dniem i nocą lecieć... nie było sposobu.

Rybiński milczeniem przyjął wymówkę, a widzieć już było ze wszystkiego, że dlań obojętną była reszta sprawy, gdyż główne punkta załatwione zostały.



Jenerał odzyskawszy swój dobry humor, gdy wszystko lekko tak i dobrze poszło, wstał, poczynając sypać jak z rękawa miejskie plotki.

— No starościcu — dodał — czas ci już wyjść na świat; będziesz błady, interesujący, sam czas starać się o pannę, bo do mężatek ci nie życzę, tam bladeść źle rekomenduje. Mamy panien hukiem i bogatych i ładnych, ożenisz się jak sam zechcesz, bo młodzież hurmem się wynosi do wojska, a o mężów wkrótce będzie trudno.

— Śliczneż to wojsko — dodał śmiejąc się szambelan i wydeklamował przekrecony do okoliczności urywek jakiegoś paskwilu:

Szable kute w żelazo, naramniki belki,  
Kurtki, spodnie szerokie, kordony, fręzelki,  
Różne hafty, ostrogi, nadewszystko miny,  
Witajcie Möllendorfy, Laudony, Szweryny.

— No, a teraz gdy już mamy słowo szlacheckie i rzecz skończona, do widzenia starościcu — dokończył jenerał podając rękę. — Oznajmiemy biednemu podczaszycowi że się na świat po swoich rekolekcjach wychylić może! — Staroście odpowiedział znowu milezącym ukłonem i słowy.

— Byleby ks. biskup na to się zgodził, jam gotów rękę podać, ale deprekacji żadnej publicznie czynić nie będę.

— To się rozumie! — zawołał szambelan — czyn starczy za słowo.

To mówiąc pożegnali się i odjechali posłowie, a de Cerulli tryumfujący, powracając z nimi zawiózł ich



jeszcze do winiarni, którą generał wskazał, dla zalania zgody kilką butelkami starego węgryzna.

Rozstali się pijani i w najlepszej w świecie przyjaźni.

Gdy się to dzieje, wczorajsi wieczorni goście Cerullego wzięli bardzo do serca i na język wieść o tajemnej kochance podczaszyca, i ponieśli ją po mieście.

Zrana już król Jegomość, od starosty Piaseczyńskiego, od Russa i od Brunet'a z kolei o tej Anusi się dowiedział, bo głód był jakoś na tego rodzaju nowinki. i każdy myślał że królowi nowalją przyniesie. Stanisław August aż się o Anusię Bauchera spytał. bo był ciekawy świeżych twarzyczek i myślano już jakby mu ją gdzie pokazać. Tymczasem szpiegi pani... pobiegli do niej zaraz z doniesieniem o przygotowującej się jakiejs niewierności królewskiej, a N. pan najniewinniej odpokutowawszy za prostą ciekawość, nie śmiał więcej spytać o dziewczynę. Swobodniejsza młodzież tego dnia poszła na zwiady, i kilku się założyli, że nietylko ją zobaczą, ale z nią mówić będą. Wszyscy cisnąć się do nieznanomej pewni byli że to jedna z tych piękności w jakie od Sasów obfitowała Warszawa, z tych pięknych dziewcząt znanych tylko z imienia i wdzieków, o które bywały pojedynki i zwady gorszące, bo za ich wozem szły całe pułki starych i młodych wielbicieli.

Rój kawalerów rzucił się na ulicę Bednarską, szukając dworku, pytając o sławną Anusię. Ona tam płacząc siedziała nad starą księgą, dumiała o dziwnym losie który ją związał z człowiekiem, co nigdy stalszym węzłem nie mógł się z nią połączyć — a do koła ciekawi i natrętni wszelkiemi sposobami dobijali się jej okien i bramy. Śmielszy pan Węgierski, który ładne twarzyczki

lubił a konceptu mu nigdy i śmiałości nie brakło, wprost sobie do wrót zapukał.

Że naówczas ani pana Jana, ani Kaspra nawet w domu nie było, Hołodryga niecierpliwy sam wrót pilnował, czekając rychło go powrotem swym uwolnią pod kościół.

On więc otworzył szambelanowi, który obejrzawszy tę postać ciekawą, i heroicznie ją brzydką znajdując z admiracją teratologa wyegzaminowawszy od stóp do głowy, zdjął kapelusz i grzecznie powitał żebraka.

Hołodryga wziął to za żart, począł się już krztusić z gniewu, a że w złości gorzej jeszcze mówił niż zwykle, wydał tylko jakiś krzyk dziki.

— Doskonale! jakie pierze taki śpiew! — rzekł Węgierski — zacny stróżu tych pól — a bardziej tych murów, racz mnie posłuchać, słowo tylko.

To mówiąc, dla lepszego wyjaśnienia podał Hołodrydze talara, a na widok jego żebrak otworzył usta i zamilkł, pieniądz go skonwinkował.

— Czego chcecie? — wyjąknęła poczwara.

— Przysłał mnie tu pan Sieniński gospodarz, wszakże go nie ma? po panienki.

— Nie ma go! do panienki! a dobrze!

Obracając wciąż na dłoni talara, żebrak puścił szambelana bez dalszego sporu do środka, a Węgierski dawszy susa wprost do dworku skoczył. Chodziło mu o to tylko, by zbliżka zobaczyć Anusię, otworzył drzwi i znalazł się na przeciw niej oko w oko, ale zdziwił trochę, widząc zamiast zalotnego, strojnego dziewczęcia, piękną, skromną, ale smutną, modlącą się panienkę, której wzrok dumy i powagi dziewiczej pełen, od razu

go zmieszał. Anusia sądząc że chodzi o podczaszyca, że to jakiś poseł od niego, przybliżyła się do dworaka.

Ten właśnie szukał na prędce pretekstu do wytłómaczenia się z przybycia, gdy Anna sama mu podała środek wywikłania, uprzedzając pytaniem.

— Pan przychodzisz od podczaszyca?

— Zgadłś pani, w istocie od podczaszyca.

— A cóż mi pan przynosisz? może pan czego żąda? potrzeba mu czego? grozi jakie niebezpieczeństwo?

— Kazał pani powiedzieć, kazał powiedzieć — jakaś się Węgierski. — Co u diabła mógł mi kazać powiedzieć? — rzekł w duchu.

— Nowe niebezpieczeństwo pewno! — łamiąc ręce zawołała Anna.

— Nie! nie, uchwaj Boże, owszem... jednakże widzi pani... głównie... kazał mi się dowiedzieć o jej zdrowiu.

— O zdrowie moje? — rumieniąc się z niejakim niedowierzaniem spytała Anusia — o mnie?

— Tak jest, dla czegoż to ją zadziwiał?

— Bo niepodobna by teraz myślał o kimś obojętnym, gdy tyle ma o sobie do myślenia... cierpiąc i dręcząc się swoim losem. Powiedz mu pan żem zdrowa, że się modłę za niego, że Boga proszę gorąco aby go oswobodził...

I łza pociekła z pięknego czarnego jej oka.

Szambelan był drwiarz wielki, niewiara, sceptyk, ale człek gorącego serca — dotknęło go prawdziwe uczucie, na którym omylić się nie mógł, znając serce ludzkie — pożałował swej igraszki nawet i zły na siebie wyszedł z tego domu.

— Głupie jeneralisko! — zawołał za bramą — mylił się grubo, wziął jakąś cnotliwą pupilę, piękną ale

chudą i czarniawą, za amantkę! wierz-że tym starym wygom, którzy wszędzie widzą kochanki, gdy ich już sami mieć nie mogą!

Ledwie ustąpił Węgierski, już do wrót cisnął się Zabiello, ale ten nie użył przekonywającego talara i Hołodryga omal go kijem nie przepędził; nie lepiej powiodło się kilku innym. Mniej śmieli uwijali się przed oknami, a że przez kraty nie sposób było nic dojrzeć, klęli starą budowę.

Najprzebieglejszy i najzapaleńszy do tego rodzaju sztuczek pan podkomorzy Brański zrobił za pomocą Orlandiniego na przesmyku uroczystą znajomość z panem Kasprem i z nim razem ruszył do jego dworku pod pozorem, że jest budowniczym, że bardzo możny sąsiad chce kupić domostwo i obejrzenie mu polecił. Dowiedziawszy się zaś o słabostce starego do grosza, począł go tentować wielką sumą, którąby mu za dworek, bardzo do rozpoczęcia jakiejś kamienicy potrzebny, zapłacić mogli.

Kasper nic nie podejrzewając wiódł starostę wprost do siebie, z ukłonami bez końca, a ten mu duby smalone prawil o wartości jego dworku. Weszli nareszcie, i trzeba widzieć było jak doskonale grał rolę architekta, jak po wszystkich kątach zaglądał, laską ściany wymierzał, mury sądował i rozważał sklepień strukturę.

Sieniński dał się zwieść najzupełniej, zachwalając tylko rudera swoje.

— Dworek niepozorny — mówił żywo — ale niech pan zważy w jakim położeniu! przychód mi daje ogromny, procent jakiego w innych ulicach właściciele piętrowych kamienic nie mają... lekko szacując wart trzy...

co ja mówię trzy?... cztery... a w rzeczy pięć tysięcy dukatów... może więcej.

— Stój kochany panie — przerwał podkomorzy Brański wchodząc do środka — jak tak pojedziesz trudno ci się będzie potem zatrzymać.

— Co to dla bogatego nabywcy — fraszka — rzekł oblizując się pan Kasper — a dla ubogiego, dla tak ubogiego jak ja człowieka.

— Jaktó ubogiego, kiedy dworek tak piękne panu robi procenta?

— Ale obciążonemu familją.

— A pan jesteś żonaty?

— Żonaty wyraźnie nie jestem — cofając się przed kłamstwem wyjąknął pan Kasper — ale gorzej, bo mnie blizcy obsiedli.

W tem weszli do pokoju w którym Anna modliła się jeszcze, rozmyślając o poselstwie podczaszyca — podkomorzy ujrzał ją, zdziwił się jak pierwszy, nie znajdując ani w postawie, ani w stroju czego się spodziewał — to jednak wcale go nie zraziło.

Anna wstała zapłoniona.

— Omyłka — rzekł w duchu podkomorzy — ale trafiłem lepiej niżem myślał, to brylant jeszcze nie tknięty!!

Piękność dziewczęcia uderzyła go silnie — jasne jej czoło dziewicze, oczy z taką przemawiającą siłą i szczerością, zawróciły mu głowę do zbytku zawsze zapaloną.

Już dalej murów nie mierząc, izb nie rozpatrując, choć się Kasper napraszał, cofnął się podkomorzy rozmyślając głęboko, jak z najrzanego skarbu korzystać i jak go sobie przyswoić.

Inni mniej od niego zyskawszy, wieczorem gdy się

przyszło obrachować z tego co okazali, wszyscy niemal kłamać musieli, żeby się na śmiech nie wystawiać. Węgierski milczał tylko, podkomorzy zaś w najżywszych kolorach odmalował Anusię i na nowo zapalił tych co jeszcze jej widzieć nie mogli.

U pani starościnej małogolskiej, u pani opeckiej nie mówiono tylko o sławnej już od wczora Anusi, która najniewinniej i nic o tem nie wiedząc, stała się celem rozmów i ciekawości. A że powtarzane wieści dziwnie w ustach rosnać umieją i mienia się w dziwolagi, Bóg wie co prawiono o zamkniętej za kratą i pilnowanej przez garbatego Hołodrygę piękności.

Osnowały się różne intrygi, by ją zobaczyć, dostać się do niej, rozkocharć ją, wykraść, a piękne panie ruszały ramionami, śmiejąc się z tych wysileń młodzieży, zajętej więcej Anusią niż najważniejszą sprawą sejmową. Ze wszystkich jednak rozplamienionych, podkomorzy brański najmocniej sobie głowę łamał i poprzysiągł, że podczaszycowi skarb jego wydrzeć musi.

## XV.

Są ludzie, dla których najmniej miłym towarzystwem są własne ich myśli — męczą się niemi i nudzą, bo im powtarzają rzeczy niemiłe, oklepane, na przykrzone. Radziłyby od nich uciec i szukają sobie byle jakiej rozrywki, byle jakiego towarzystwa, aby się wyrwać z objęcia tych dotkliwych dumań. Człowiek tylko wytrawny, co dobrze pracował nad sobą, obcować dłużej sam na sam ze swoim *ja* potrafi. Pospolici ludzie w niedostatku hałasu wolą sen i śmierć chwilową, niż tę walkę z nastreczającymi im się myślami, płyną-

cemi wśród ciszy wrzawliwym potokiem. Cóż się to z nie-  
mi dzieć musi, gdy ich zmiana położenia, nieuchronna  
konieczność, postawi w takiej kolei, że uniknąć nie mo-  
gą trawienia się w sobie, i własnego towarzystwa? Przy-  
wykli do ciągłych roztargnień, do gwaru co im głośniejszy  
głosy wewnętrzne, nagle w ciszy osamotnienia znajdują się  
jak w pustyni otoczeni widziadłami, które stwarza mil-  
czenie i stepy. Rzucają się naówczas przerażeni bijąc jak  
zwierz dziki którego w klatce zamknięto, dopóki zraniw-  
szy się o szczeble żelazne, nie legną zwyciężeni bezsil-  
nością. Czasem z położen takich wychodzą ludzie lepszymi,  
gdy przetrwawszy ból i boleść, staną na szczeblu  
zgody z samymi sobą i głosem Boga, mówiącym im przez  
ich sumienie; często też padają pod ciężarem kajdan,  
gdy dusza nieprzygotowana poprzedniem życiem, o swych  
siłach ostać się nie potrafi. Samotność bywa wielką pod-  
niętą do dobrego, ale wielkiem niebezpieczeństwem.

Wszystkie tam widziadła przeszłości występują na niej  
szeregiem, wszystko co człowiek utracił, czego nie po-  
siadał, co przeboleł, co mu z rąk dotknięte ledwie uciekło,  
— dręczy go, wabi, niepowrotnością zrozpacza. W szal  
czasem obraca się ta rozmowa z sobą, gdy jej dusza i  
serce nie podolają — rozprzęgną się myśli rozkiełzane,  
poniosą, polecą — nie połapać ich już potem.

Samotność, powiedział ktoś z chrześcijańskich pisarzy,  
dobra jest tylko z Bogiem, bez niego szatani ją zalud-  
niają.

Wyobrazić sobie można co się działo z podczaszy-  
cem, za którym nagle zamknęły się drzwi klasztorne, za  
nim, co nie znał zamknięcia i samotności, nie próbował  
myślenia, nie chciał zastanawiać się nad sobą, pragnął  
używać nie pytając końca, bo weń nie wierzył, lub spoj-



rzeć mu w oczy nie czuł odwagi. Sam z sobą, z książką pobożną, z widokiem smętnym, z drażniącym zdała gwarem ulicy, którą słyszał widzieć nie mogąc, z bliższym szmerem modlitwy, niekiedy chwilową rozmową z ks. Spirydjonem — jak ten zwierz do któregośmy porównywali samotnika, bił się o mury ciasnej celi, nie mogąc w niej niepokoju swego pomieścić. Przywykł do gwaru, utonął tu w głuchem milczeniu — coraz to chwytał książkę, ale słowa w niej nie rozumiał, bo ona i on daleko byli od siebie.

Całym zapasem były dlań wspomnienia przeszłości, ale wypadkiem dziwnym, on, co wedle siebie począł dopiero żyć w mieście i to, jak mówił, świata skosztował, kiedy szedł czerpać z skarbnicy pamiątek, we wspomnieniach tych chwil szалу, znajdował tylko martwe, zeschłe szczęty, z których na pokarm dzisiejszy kroplinie umiał wycisnąć. Myśl jego musiała się zwracać do epoki życia, na pozór dlań pustej, czezej i bezbarwnej, na której grobie kwitły mu jeszcze pełne woni kwiaty.

Z życia wczorajszego, jak po spalonym fajerwerku, nic nie pozostało prócz trochy swędu i dymu — z tych miłostek kilkudniowych, z tych zabaw odurzających, z tych szalonych nocy strawionych z kielichem, wrzających ochotą, proch został i śmiecie — a z chwil młodości, z dzieciństwa, przywalonych całym ciężarem drugiego życia, do których nie przywiązywał ceny, czerpał dziś jeszcze napój rzeźwiący. Do tej przeszłości dawno minionej, zabytej i sponiewieranej, zwracać się musiał co chwila. Serce czy myśl wiodły go do Głuszy, do pokoiku babki, pod straszny obraz patrona, na ów mały stołeczek na którym siadał u nóg starościnej, słuchać jej nauk i powieści — do Anny i dziecięcych z nią



zabawek, których dziś, zawczasu zgrzybiały się wstydzik, a wstydząc się, żył jeszcze niemi pokryjomu! Taką to siłą chwil życia pocziwych, że przeżyte, jeszcze w sobie mają soki pożywne, — gdy lata poświęcone nasyceniu, płoną na popiół i rozchodzą się z dymem.

Bolał Ordyński w tem zamknięciu, targając próżno więzy swoje — ale cóż począć było? nie mógł przespać dni całych. musiał je przedumać samotnie. Czasem wychodził na korytarze klasztorne, żeby zyskać więcej przestrzeni i szersze miejsce przebiegać niespokojnymi krokami, — ale i tu myśl jego biła się o obrazy, o pojęcia, czyny dziwnie sprzeczne z tem do czego był nawykł w swem życiu.

Na tych długich osłonionych krnżgankach, spotykał wizerunki świętych mężów, powagą śmierci otoczonych, z których lica były światłości, przeszłość ofiar i modlitwy. Napróżno chciał się uśmiechnąć wpatrując w te oblicza, myśląc w duchu: To byli ludzie jak my!

Oczy ich, czoła, usta, suknie nawet mówiły że to nie dzisiejsi i nie pospolici byli ludzie, — ugiął głowę mimowolnie i mijał ich niespokojny. Spotykał dalej obrazy męki Chrystusa, które do oziębłego serca nie jeszcze przemówić nie mogły — czytał napisy pełne pobożności, namaszczenia, lub groźby przerażającej — ale rzadko co doszło przez oczy omglone do duszy jego, częściej uśmiech szyderski błąkał się jeszcze po ustach. Obawiał się nawrócić, aby śmiesznym nie został!!

W końcu korytarza po którym najczęściej, nie chcąc być widzianym, przechadzać się musiał podczaszyc, był wielkimi głoskami napis pełen rzewności i głębokiego uczucia, który nieustannie w oczy mu wpadając, utkwiał nareszcie w pamięci, tak, że pozbyć się go nie mógł,

bo mu wciąż mimowolną modlitwą na ustach się błakał.

Trafia się, samotnikom zwłaszcza, że wyraz jakiś, dźwięk, słowo, twarz tak uwieczną w nich, jak uparta kość co w gardle zastrzęgnię, i pozbyć się ich nie można. Czasem to igraszka wyobraźni, dzieło próżnowania, częściej odpychana i nie pojęta przestroga. Podczaszyc tak właśnie męczył się tym napisem jak zadławiony kością, choć go powinien był ukochać i zapamiętać. Pobożny ten wykrzyk jakiś widać zakonnik wyrzył tu dla przechodzących u stóp Chrystusowego krzyża, aby go powtarzali jako najstosowniejszą do czasów modlitwę. Były to słowa z głębi duszy wyrzeczone, natchnione razem uczuciem ascetycznym i miłością kraju pogrążonego w zepsuciu i chwiejającego się nad przepaścią.

*Qui redemisti perditos, noli perdere redemptos! \*)*

Podczaszyc skłonny do pochwycenia co mu oko przyniosło, nie mógł się zbyć tej modlitewki, powtarzał ją, przekręcał, gniewał się na siebie, zasypiał z nią na ustach i budził szepcząc znowu.... Niekiedy męczyła go do zniecierpliwienia, ale im mocniej chciał się jej pozbyć, tem uparciej mu ona wracała. Może Anioł-stróż włożył ją w usta biednego szaleńca jak zaschłe rzucając nasionko, z którego kiedyś spodziewał się owocu i kwiatu.

W samotności klasztornej, w ciągu dni długich które tu przeżywał, podczaszyc, więcej się męczył niż ulepszał. Z rozmów nawet z ojcem Spirydjonem, korzyść nie mogła być zrazu wielka — aby orać wołem, trzeba mu wprzód jarzmo włożyć, a jarzma tego nie chciał

---

(\*) Napis podobny znajduje się na pięknej figurze w lesie pod Zawieprzycami, w Lubelskiem.

wdziac biedny młodzieniec, tak jeszcze rozłukana dusza i umysł do szyderstwa nawykły, wzbraniał się przyjąć wszelką prawdę, którejby rozebrać nie potrafił. Najlepsze chęci głupi wstyd w nim zabijał. Jedną tylko drogą kierował się powoli ku ścieżce co go z obłędu wywieść mogła, a tą było wspomnienie staruszki i lat młodszych. Coraz też częściej zwracał się ku nim — raz nawet, dobrze że nikt nie widział, bo by się zagryzł był wstydem, łza jakaś niedojrzała zaszła mu oczy. Otarł ją, żywo się oglądając i śmiechem jak kamieniem źródło jej przywalił, żeby nie trysła więcej...

Rzadko go kto tu odwiedzał, oprócz ojca Spirydjona, ale ten miał tyle zatrudnień około nieszczęśliwych po więzieniach, przy ubogich, że wiele czasu poświęcać mu nie mógł. Co mu zbyło tylko od obowiązków, dzieląc na modlitwę, rozmyślanie i rozmowę z Ordyńskim, rzadko mógł dłużej nad chwilę z nim pozostać.

Od godzin rozmyślania, modłów i pokuty nawet, odrywał się czasem dla niego, ale w prędkie spostrzegł że tu natrętnym być nie można w nawracaniu.

Potrzeba było żeby chory sam zawołał nareszcie o lekarstwo, badał tylko stan jego duszy i cierpliwie oczekiwał. Wiedział starzec że niewiele warte nawrócenie gdy ku niemu wola się grzesznego nie skłoni sama; co tylko skutkiem szczególnej łaski, usilnej pracy nad sobą lub powolnego wpływu otaczających być może.

Gwałtu dusza nie cierpi, bo natura jej wszelką przymoc odtrąca — jest to istota swobodna, której oddane panowanie nad sobą, całych przyszłych zasług jest nasieniem.

W początkach niecierpliwił się podczaszyc, warczał, żymał, tęsknił, dopytywał o świat który przeciotko o

nim zapomniał, zesmutniał potem, zamyślał się i wpadł na te ożywiające wspomnienia młodości, których źródeł po długiem zapomnieniu znalazł płynący jeszcze. Z oczu jego wyczytał zmianę stanu duszy stary kapucyn, bo dostrzegł w nich rozrzewnienie pocziwsze, smutek, tęsknotę do rezygnacji już bliską.

— Łaska Boża działa — rzekł — dajmy mu czas by się zwyciężył.

I jak był przywykł zakonnik, wchodził co dzień do celi z uśmiechem na ustach, z tabaczką w ręku, wesół, rubaszny czasem, pełen słodczy i dobroci, opromieniony pokojem nieziemskim. Czasem gdy się go jeszcze pod czaszyc o świat dopytywał, zbył go żarciem tylko.

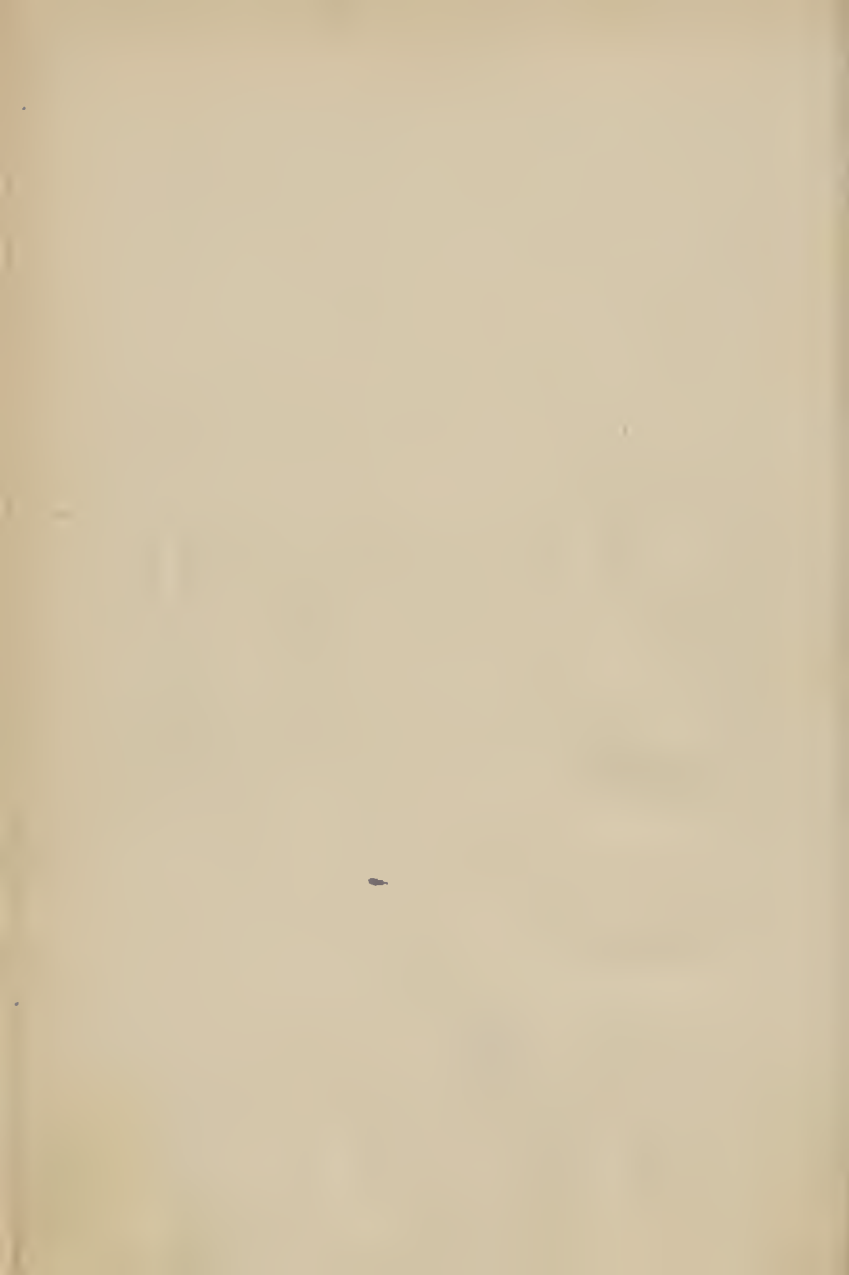
— Kochany panie Michale — mówił — a cóż chcesz bym ci o świecie powiedział? Mój świat a jegomości to antypody! Co ja tam wiem jak się bawią, szaleją i lata czyśca lub wieczności piekieł zapracowują w pocie czoła! mnie dopiero wzywają, kiedy już naczynie potłuczone, a płyn drogi ciecze z niego, niestety!! często, na czarną brudną ziemię... co by miał od słońca miłości Bożej wyparować do góry i niebios! Mój świat, kochany pod czaszycu, to ci nieszczęśliwi, których nie ma dnia żebym na wieczność nie dysponował, a na których twarzach albo zatwardziałość zbrodni, albo rozpacz i zgryzota się malują. Ot wczoraj dwóch z mojego świata powiesili, dziś dysponowałem na stracenie kobietę co męża otruła... widzisz, wiele to świata mojego. I co ci po nim? A że karety pańskie i królewskie po bruku huczą, że się tam magnaci przejeżdżają z pałacu do pałacu, po teatrach i skoczkach, myślisz że na to patrzę? Skończy się to jak wszystko — dzwonkiem, gromnicą i litanią przy konających.

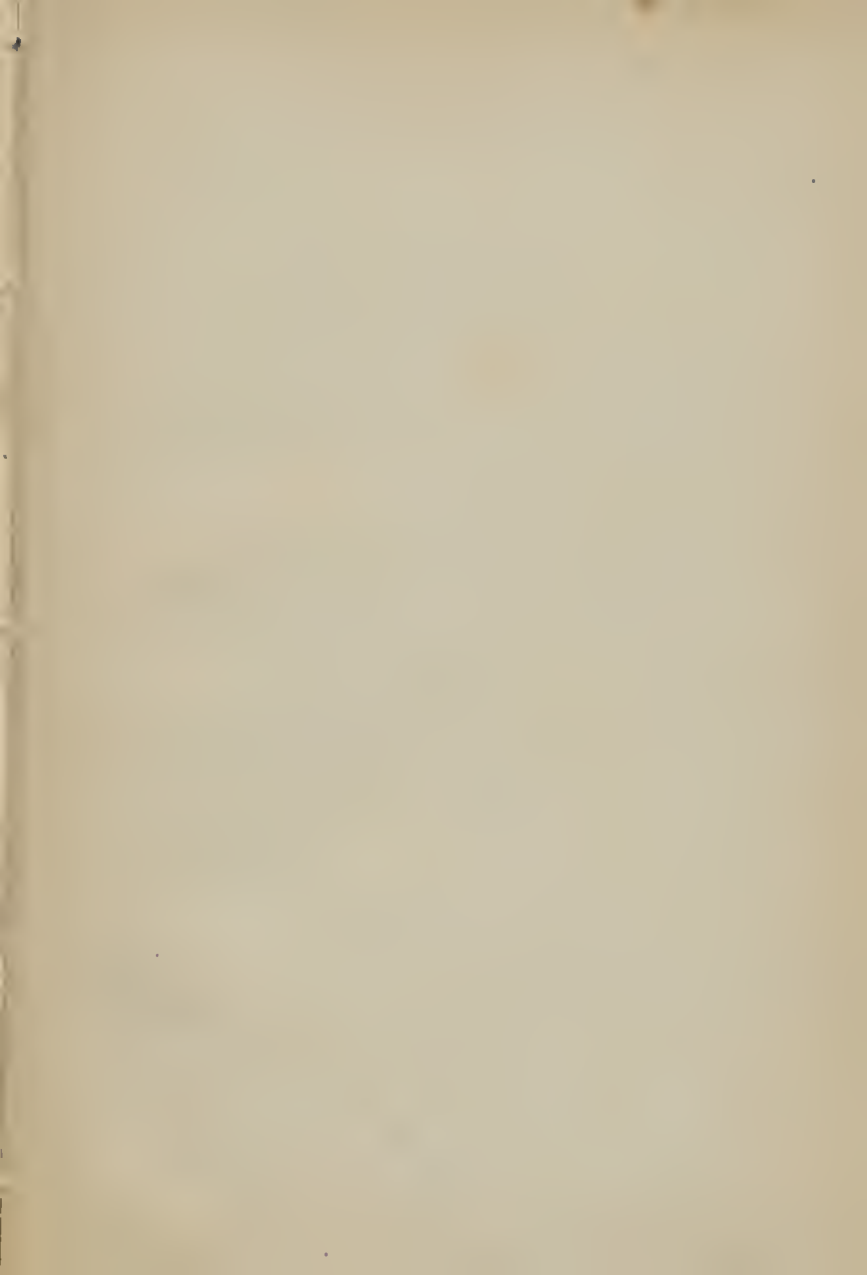
Podczaszyc westchnął. Widział on już pomimo powabu, jakimi go życie porzucone pociągało ku sobie, ile w niem było fałszów i szychu, wśród pozornych świecideł. Ale że poprawa stokroć jest zawsze trudniejszą od zepsucia, jak zniszczenie łatwiejsze od zbudowania, trudno mu było wybrnąć z drogi na której daleko się zabłąkał. Klasztor, zamknięcie, echo modlitwy, żywot mniszy, podziałość nań tak rychło nie mogły — postacie, które tu spotykał dziwiły go, niecierpliwiły, śmieszyły, wpływu nań nie miały, bo jeszcze większa od niego dzieliła je przestrzeń, niż łagodnego ojca Spirydjona. By się dwie dusze zrozumieć mogły, potrzeba między nimi jakiegoś punktu zetknięcia, choćby niedostrzeżonej nici pajęczej, coby je z sobą wiązała. Tej nici wysnuć nie chciał Ordyński.

Zbliżała się może chwila odrodzenia, ale jeszcze nie była przyszła, rozrzewnienie tylko, jak rosa, dzień i wschód jasny poprzedzająca, oblało duszę łzą srebrzystą — ale słońce nie rozjaśniło niebios jeszcze i szary zmrok okrywał smutnym całunem bezbarwne przestrzenie.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.



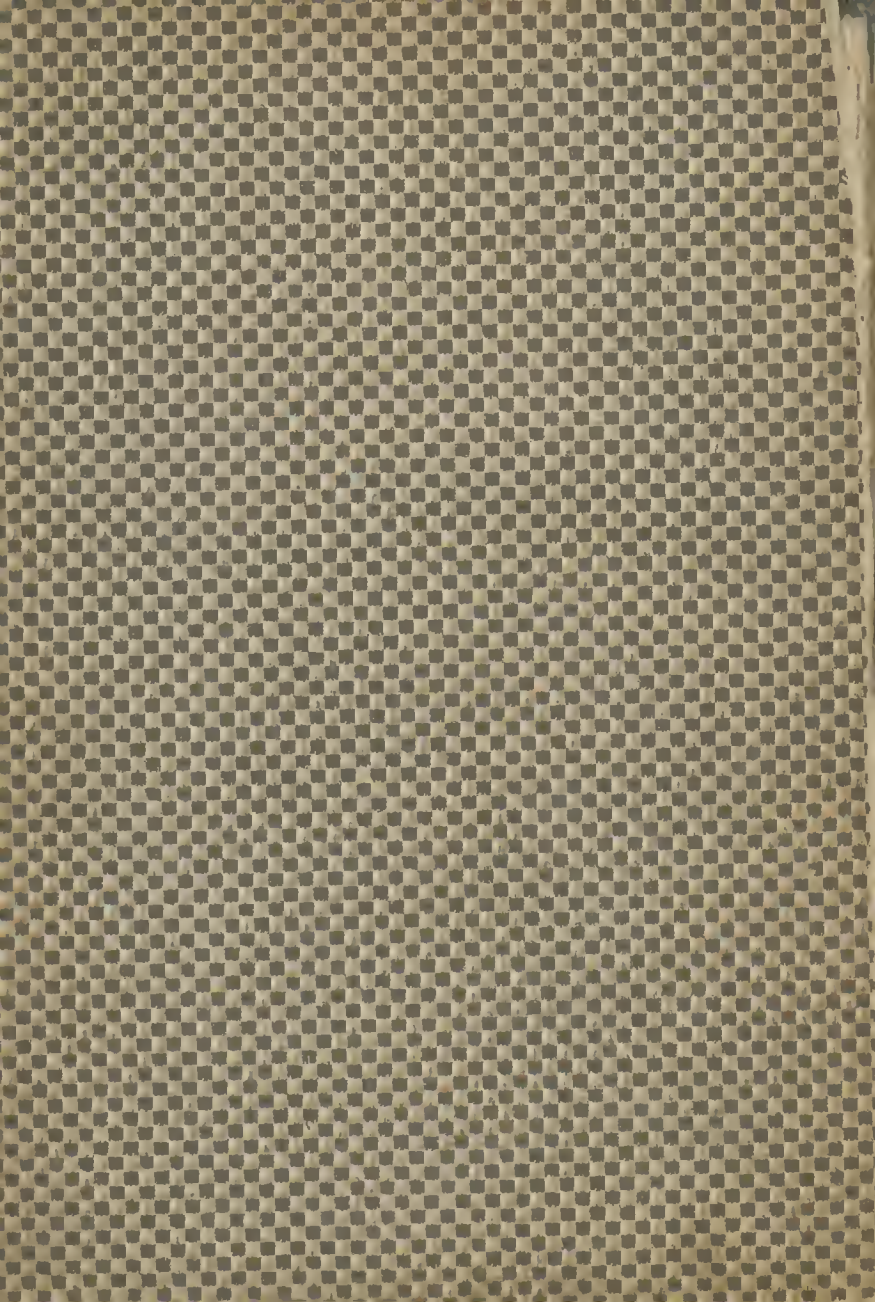












C



502104

\*KSIĘGARNIA\*

ANTYKWARIAT



C 502104

XXXXXXXXXX

**Biblioteka Raczyńskich**

**JIK2001**



**JIK2001**